60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

№ 34

2.X.27



Każdy z naszych Prenumeratorów ma prawo bezpłatnego zamieszczenia raz na miesiąc w rubryce poniższej ogłoszenia dowolnej treści, nie przekraczającego pięciu wierszy tekstu. Wrazie przekroczenia ilości wierszy, dopłaca po złoty jeden od każdego wiersza następnego. Dla wszystkich innych ogłoszenia są płatne po zł. 1 gr. 20 za wiersz.

OD WYDAWNICTWA

Rozszerzając i ulepszając „Ilustrowany Tygodnik Polski", który zyskał sobie powszechne uznanie i wziętość, dla pokrycia kosztów wydawnictwa, związanych z powiększeniem materjału redakcyjnego i rysunkowego, podnosimy prenumeratę, poczynając od października r. b., na złotych 2 miesięcznie wraz z przesyłką na miejsce. Pomimo to, biorąc pod uwagę objętość i formę, „Ilustrowany Tygodnik Polski" nie przestaje być najtańszą ilustracją polską o barwnej, urozmaiconej i bogatej treści. Zapowiadając przy zmienionych warunkach prenumeraty szereg dalszych zmian i ulepszeń ku zadowoleniu naszych Czytelników, co rozpoczynamy już od numeru bieżącego, wierzymy, iż wszyscy Czytelnicy poprą nasze usiłowania i nie odmówią swej przyjaźni i życzliwości, zmierzając wraz z nami do jeszcze pełniejszego rozwoju i rozpowszechnienia „ILUSTROWANEGO TYGODNIKA POLSKIEGO".

Opłata pocztowa ryczałtem 2—9 października 1927 r. Cena 60 gr.

Ilustrowany Tygodnik Polski

CENA PRENUMERATY:
Miesięcznie . . . Zł. 2.—
Kwartalnie. . . „ 6.—
Półrocznie. . . . „ 12.—
Rocznie . . . „ 24.—

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Miodowa 5, tel. 28-33
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p. Redakcja czynna od 10 do 4-ej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych fotografij i rysunków Redakcja nie zwraca.
Konto P.K.O. Nr. 14315 Konto P.K.O. Nr. 14315

DLA PRENUMERATORÓW CO TYDZIEŃ OSOBNY DODATEK POWIEŚCIOWY W ARKUSZACH KSIĄŻKOWYCH I NAGRODY ZA ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 34

Kartki z raptularza

BODAJ BYĆ POETĄ ALE... W DANJI! Okazuje się, iż jest jeszcze kraj na świecie, gdzie warto być nie kopaczem piłki nożnej, ale poetą.

Państwo duńskie wybitnie popiera sztukę i naukę.

Minister skarbu ma na to specjalne fundusze, a nawet w budżecie rubrykę dla... poetów. Są nagradzani co roku, aby ci wśród nich, co wyróżnią się talentem i zasługą, mogli bez troski o jutro tworzyć i wzbogacać ducha w narodzie.

Co kraj to obyczaj, co państwo to tradycja...

U nas największy poeta polski, Adam Mickiewicz, gdy doczekał się rodziny, to znalazł się w takich warunkach, że małe dzieci sypiały w szufladach od komody.

Trzeba wpierw w Polsce umrzeć, aby uzyskać wdzięczność, pamięć i dobre uczucia u potomnych.

Oto dowiadujemy się, iż grono ludzi dobrej woli krząta się w Zakopanem, aby uczcić pomnikiem poetę-górala i skrzypka z bożej łaski, Bartka Obrochtę, którego fotografję podajemy na tytułowej stronie naszego pisma.

KRES POLSKI BLISKI Polska istnieć będzie tylko do 1939 roku. W roku tym przegra wojnę przeciwko Rosji, i nastąpi jej rozbiór pomiędzy Rosję i Niemcy...

Tak twierdzą astrologowie niemieccy, stawiając horoskopy przyszłości na bliższą i dalszą metę.

Horoskop czy marzenie?

Raczej to drugie, bo tak chciałoby się, aby wróciły dawne dobre czasy: przymierze wojskowo-gospodarcze z Rosją, z Polski ani śladu, nic i nikt od sąsiada nie oddziela, królestwo buty, pychy i pięści odbudowane w całym blasku.

Ideał ten marzyć się nie przestaje twardym łbom pruskim, a ponieważ rzeczywistość niezupełnie mu odpowiada, więc dobra choć astrologja, która, jak cyganka, wróży, a jednocześnie okiem zerka, gdzieby co ukraść.

Dodajmy jeszcze do tego, że astrologja ma licznych zwolenników we wszystkich krajach, a więc przy okazji propaganda przeciwko Polsce.

A możeby tak nasi polscy astrologowie również ułożyli horoskop Niemiec na najbliższe lata?

CORAZ WIĘCEJ KRÓLÓW... Mylą się ci, którzy twierdzą, iż wyrazem powszechnym naszej epoki jest demokratyzm.

Gdzietam! Królów i królestw mamy coraz więcej, a mnożą się z dnia na dzień.

Król boksu, król tennisa, król ekranu, królowa skoku o tyczce, królowa pływania, królowa pięcioboju (sam czart nie wie, skąd i jak pięcio-bój) — słowem sami króle i same królowe, od których pstrzą się szpalty gazet.

Nadmierne zachłyśnięcie się sportem sprowadza stopniowy paraliż mózgu. Zupełnie, jak w kinematografji. Tu wszystko, co wchodzi na ekran, choćby bzdurą i głupstwem było, jest arcy-super-filmem, tam znowu króle, królowe i królestwa.

Jakże łatwo jest dzisiaj zostać królem czy królową!



PRECZ Z HYDRĄ KOMUNIZMU!... Pająk komunizmu, snujący swe sieci we wszystkich państwach, nie pominął i Francji, znajdując i wśród tego patrjotycznego i bohaterskiego narodu odszczepieńców i sprzedawczyków, co za miskę soczewicy gotowi sprzedać najwyższe świętości.

Jednak nastąpiła już reakcja.

Głos zabrał b. prezydent Francji, jeden z jej najświetniejszych mężów stanu, Aleksander Millerand, który publicznie rzucił hasło:

— Precz z hydrą komunizmu!

I zrobiło to wielkie wrażenie. Zaczyna się tworzyć jednolity front i zjednoczenie wszystkich sił narodowych dla przeciwstawienia się niebezpieczeństwu bolszewickiemu.

Francja daje przykład, jak bez wojny i przelewu krwi można zniszczyć największe zło obecnych czasów.

OPIEKA NAD WYCHODŹCAMI Na rzucenie na pastwę losu i przypadku tych z pośród nas, którzy znaleźli się na obczyźnie, nie możemy sobie pozwolić, gdyż w grę wchodzi kilka miljonów narodu.

Z chwilą odbudowania własnego państwa obowiązek ten wzrósł tembardziej. Każdy z Polaków, gdziekolwiek się znalazł, musi odczuwać, iż jest pod opieką i dobroczynnym wpływem Rzeczypospolitej. Nie może być przez nikogo traktowany, jak parjas, wyzuty z ojczyzny, państwowości i obywatelstwa, jak to było w latach niewoli i hańby.

To też z radością i ulgą należy powitać wszelkie poczynania w dziedzinie roztaczania państwowej opieki polskiej nad wychodźcami.

Specjalna konferencja konsularna, mająca omówić organizację opieki nad wychodźcami we Francji, zaczyna wkrótce swoje obrady w Paryżu.

Z mojej karjery... Wywiad XXXI

Józef Kotarbiński



JÓZEF KOTARBIŃSKI
zasłużony senjor piśmiennictwa i teatru, obchodzący w roku bieżącym 50-letni jubileusz swej chlubnej pracy

Obchodzący w roku bieżącym 50-letni jubileusz swej chlubnej pracy Józef Kotarbiński jest nietylko znakomitym aktorem, lecz również zasłużonym i cenionym literatem.

Jego studjum krytyczno - literackie „Pan Tadeusz jako epos", wydane w ostatniem ćwierćwieczu ubiegłego stulecia oraz wydana w r. 1924 praca historyczna p.t. „Z dziejów dramatu i komedji w teatrach warszawskich", — należą do wyjątkowych i cennych dzieł, stanowiących wkład do skarbców piśmiennictwa ojczystego.

Jednak Józef Kotarbiński w wywiadzie z nami więcej mówi o sobie, jako aktorze, niż literacie... Nic dziwnego, scena bowiem dać mu mogła więcej chwilowego zadowolenia i szczęścia, niż pióro, tak naogół niewdzięczne i na cierniową drogę skazane w Polsce.

— Pisać zacząłem — opowiada nam Józef Kotarbiński — jako słuchacz wydziału historyczno-filologicznego Szkoły Głównej. „Przegląd Tygodniowy", redagowany przez Adama Wiślickiego, w roku 1867 zamieścił w dziale literacko-beletrystycznym moją pierwszą rozprawę noszącą tytuł „Robert Djabeł". Dramat ten przełożony był na polski przez Seweryna Goszczyńskiego. Należałem wtedy do młodej grupy pozytywistów.

— A czy trudno było z pierwszym rękopisem?

— Nie! Dla nas młodych ówcześni redaktorzy byli przychylni. Płacono nam z początku po 2, a potem 3 kopiejki od wiersza — opowiada śmiejąc się zasłużony jubilat. — Z biegiem czasu zacząłem pisać do „Prawdy" Świętochowskiego oraz do „Gazety Warszawskiej", gdzie drukowano przez dłuższy czas moje „Listy ze Starego Miasta".

W r. 1877 wstąpiłem do teatru. Doradził mi to Bolesław Leszczyński. Pierwszy mój występ odbył się przed 50 laty w teatrze Letnim dnia 7 września. Grałem wówczas rolę Zbigniewa w „Mazepie" Słowackiego, a w kilka dni później w tymże samym teatrze występowałem w roli Ferdynanda w „Intrydze i miłości" Szyllera.

Przez trzy miesiące pracowałem bezpłatnie, wolne chwile poświęcając pisaniu i nauce kunsztu aktor-

W serji wywiadów p. t. „Z mojej karjery" dotąd kolejno głos zabrali: Wacław Sieroszewski, Zygmunt Bartkiewicz, Zofja Nałkowska, Andrzej Strug, Zuzanna Rabska, Gustaw Danilowski, Marja Rodziewiczówna, Stanisław Przybyszewski, Wacław Grubiński, Aleksander Świętochowski, Karin Michaelis, Juljan A. Święcicki, Aleksander Kraushar, Maciej Wierzbiński, Gilbert Keit Chesterton, Antoni Ferdynand Ossendowski, Stefan Kiedrzyński, Stanisław Miłaszewski, Juljan Ejsmond, Stefan Krzywoszewski, Gustaw Olechowski, Zdzisław Kleszczyński, Stefanja Jerwiczowa, Kazimierz Wierzyński, J. A. Hertz, Zdzisław Dębicki, Adolf Nowaczyński, Włodzimierz Perzyński, Antoni Lange, Juljusz German.

W numerze następnym zabierze głos popularny poeta Tadeusz Kończyc.

skiego. Pobierałem naukę u emeryta teatrów warszawskich, Jana Seweryna Jasińskiego, oraz Jana Królikowskiego.

Kształciłem się na wzorach Królikowskiego i Modrzejewskiej.

W tym czasie drukowałem szereg studjów: o „Horsztyńskim“ Słowackiego, o „Marji Stuart“, o „Makbecie“, oraz najlepsze w tym okresie mojej pracy studjum o „Królu Lirze“.

W r. 1878 zacząłem grywać wielkie role w teatrach rządowych: Uriela Akosty w dramacie Buczkowa pod tymże tytułem, Karola Moora, w „Zbójcach“ Szyllera, Hamleta, oraz główne role w sztukach Moljerowskich i komedjach Zaleskiego i Lubowskiego.

— A może coś niecoś o czasach krakowskich?

— W r. 1893 za czasów dyrekcji Pawlikowskiego w Krakowie występowałem w rolach wojewody w „Mazepie“ i w „Zaczarowanem kole“ Rydla. W r. zaś 1899 objąłem dyrekcję teatru Krakowskiego. Działalność moją rozpocząłem od wystawienia dramatów naszych trzech wieszczów „Kordjana“, „Snu srebrnego Salomei“, „Księdza Marka“, „Dziadów“, „Nieboskiej komedji“ oraz utworów młodego, a świetnego już podówczas dramatopisarza Stanisława Wyspiańskiego: „Wyzwolenia“, „Wesela“ i „Bolesława Śmiałego“. Wystawiałem tylko dzieła polskie oryginalne.

W roku 1905 opuściłem Kraków i wróciłem do Warszawy. Dyrektorem teatrów warszawskich był wtedy Małyszew, za którego pośrednictwem forsowałem sztuki autorów polskich, sam występując w nich w rolach czołowych, w „Mazepie“, w „Zemście“ i w „Królu Zygmuncie“ trylogji Rydla.

Wesoły epizod przeżyłem w Krakowie za czasów Pawlikowskiego, gdy z jego trupą objeżdżałem prowincję. Było to w Częstochowie. Jako Otello dusiłem na scenie Desdemonę, a wtedy z galerji odezwał się głos jakiegoś przejętego widza:

— Ah, ty draniu!...

Ilekroć sobie to przypominam, jest mi bardzo wesoło. Zresztą humor i pogoda to skarb każdego aktora z krwi i kości. Co zaś do spraw literackich, to pracuję obecnie nad wspomnieniami z okresu mojej sześcioletniej dyrekcji w teatrach rządowych w Polsce.

M. G.

Gazy jako narzędzie wojny

Wobec „tygodnia gazowego“, urządzanego w całej Rzeczypospolitej, by pobudzić społeczeństwo do zainteresowania się samoobroną gazową na wypadek wojny, i my ze swojej strony postaraliśmy się o zebranie odpowiedniego materjału, by unaocznić to niebezpieczeństwo, jakie na nas czyhać może, a będzie tem groźniejsze, im mniej na odparcie jego będziemy przygotowani. Stąd też apelujemy do naszych czytelników, aby jaknajgoręcej akcję T. O. P-u (Towarzystwa Obrony Przeciwgazowej) poparli, pomnąc na mądre staropolskie przysłowie, że „Strzeżonego i Pan Bóg strzeże“.

Zaszła wielka i zasadnicza zmiana w tych wojnach, które prowadzić będą narody pomiędzy sobą w przyszłości.

Dotąd walczono tylko frontach, poza któremi obywatel czuł się mniej lub więcej bezpiecznie i nie przyjmował bezpośredniego udziału w walce. Teraz idziemy ku absolutnej zmianie dekoracji wojennej. Samoloty i bomby z gazami trującemi to te niespodzianki, które spaść mogą na kraj cały niezależnie od linji frontu i cały naród zaprządz do samoobrony, jak państwo długie i szerokie. W tych warunkach nie będzie piędzi ziemi, na której wróg nie siałby zniszczenia i śmierci, o ile cały naród, jak jeden mąż, nie będzie przygotowany do samoobrony.



Wilk czy monstrum? Nie, to żołnierz w gazowej masce...

Oprócz samolotów gazy odegrywać będą nie mniej rozstrzygającą rolę.

Historja twierdzi — pisze ppłk. J. M. Łobanowski — że zagadnienie użycia trucizn jako środków bojowych jest niemal tak dawne, jak sztuka wojenna. Od zamierzchłej przeszłości aż do najnowszych czasów stosowanie trucizn, jako środka walki, było i jest potępione w opinji publicznej. Prastare Wedy indyjskie, pierwszy aryjski kodeks prawny, induskie prawo Manu (na 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa) zakazują stanowczo takiego sposobu walki. W starożytnej Grecji i Rzymie opinja społeczna, przepisy prawne i umowy międzypaństwowe zawsze występowały przeciwko broni zatrutej, uważając ją za godną tylko barbarzyńców. Dalej w średniowieczu tradycje rycerskie ludów germańskich i Arabów miały olbrzymi wpływ na etykę wojenną i stanowiły potężną opozycję przeciwko broni zatrutej; dlatego też była ona naogół mało stosowana (wojny krzyżowe). Wreszcie w wiekach późniejszych rozwój środków trujących występuje sporadycznie, jednak broń trująca zawsze jest potępiana w opinji cywilizowanego świata.

Ogromna ilość ofiar broni chemicznej z jednej strony, istniejący oddawna pogląd opinji społecznej na stosowanie podobnej broni z drugiej strony, — wywołały już w czasie wojny światowej szereg akcyj ze strony poważnych organizacyj narodowych i międzynarodowych za zaniechaniem wogóle wojny chemicznej, jednakże apel ten nie odniósł żadnego skutku.

A jednak nic to nie pomaga i nie pomoże.

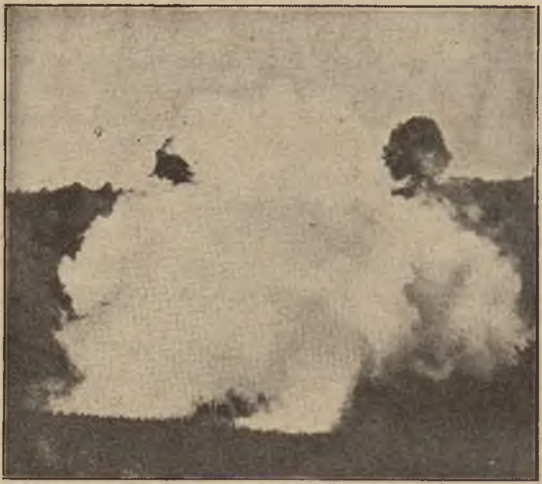
Nie mamy się co łudzić...

Z historji wiemy, że wszystkie nowe środki i sposoby prowadzenia wojny, o ile okazują się skutecznemi, zostają przyjęte i nie zdarzyła się dotąd nigdy, by wyrzeczono się nowej metody, choćby najokrutniejszej, a stosuje się ją do chwili, w której można zastąpić ją inną, jeszcze bardziej skuteczną.

A więc bądźmy w pogotowiu!



Pan Prezydent Rzeczypospolitej, będąc jednym z najwybitniejszych chemików na świecie, żywo interesuje się sprawami wojny gazowej. Na fotografji widzimy Pana Prezydenta, jak w towarzystwie wice-ministra spraw wojskowych i szefa Sztabu Generalnego, oraz oficerów świty udaje się na specjalny pokaz gazowy.



Bomby Lievensa wyrzucane są przy pomocy specjalnie skonstruowanych miotaczy, które zawrzeć mogą pociski około 30 kg. wagi i mieszczących 1—2 kg gazów. W ten sposób osiąga się maximum stężenia gazów i unika się rozpełzaniu ich w strefie między okopami, trafiając wprost do celu.



Bomby Lievensa stosowane już podczas Wojny Światowej przez armję angielską skutecznie zastąpiły poprzednie sposoby puszczania gazów, przy których atakujący sami byli narażani na niespodzianki, zależne od warunków atmosferycznych.



Skutki oparzenia iperytem na twarzy.



Bomba fosforowa spada na okręt, powodując olbrzymi pożar. Podobne pociski poza skutkami destrukcyjnemi wywierają straszne wrażenie paniki na ludziach, na których spada snop palącego się fosforu.



Straszne skutki oparzenia kończyn iperytem

Towarzysze niedawnych bojów w Paryżu



Marszałek Foch serdecznie wita przywódców Legji Amerykańskiej.

„Za waszą i naszą wolność" — to znane nam hasło, dla którego Kościuszko, Pułaski, La Fayette szli walczyć pod gwiaździstym sztandarem ze niepodległość Ameryki; pod hasłem tem również przybyli w roku 1917 Amerykanie, by bok o bok ze sprzymierzeńcami walczyć przeciw bezprawiu.

Braterstwo krwi, zrodzone z tak szlachetnej tradycji, jest z pewnością najtrwalszem spoidłem pomiędzy narodami, nierozerwalną i najistotniejszą ligą ludów, bo opartą na faktach, a nie na teoretycznych i często urojonych wywodach.

Jakże głęboko odczuwał tę prawdę szlachetny żołnierz, marszałek Pershing, gdy, stojąc w roku 1917 nad grobem poległego Francuza, wyrzekł te proste słowa: „Oto i my jesteśmy, La Fayette".

Cmentarzysko z 30.000 grobów amerykańskich, pozostawione na ziemi francuskiej obok prochów 1.400.000 Francuzów, poległych za ojczyznę, jest największym pomnikiem braterstwa krwi, które zostało zawarte na wieki pomiędzy dwoma narodami.

Słusznie też postanowiono, by w 10-ą rocznicę przystąpienia Stanów Zjednoczonych do Ententy, Kongres Legji Amerykańskiej, jednoczącej w swych szeregach zgórą 1.000.000 członków, bezpośrednich uczestników wojny lub ich następców, odbył się w Paryżu.

Legjoniści, przybyli do Francji z marszałkiem Pershingiem i komendantem Savage na czele, doznali niezwykle owacyjnego przyjęcia.

Dawno tak podniosły nastrój nie panował w Paryżu, przypominając chyba tylko wielkie dnie zawieszenia broni i zawarcia pokoju.

Niezliczone tłumy skupione na drodze pochodu, którego celem był grób Nieznanego Żołnierza, udekorodanie miasta, mowy, bankiety, a wszystko z tym właściwym, upojnym temperamentem Francuzów, wywarło niezatarte wrażenie, które przywiozą do kraju delegaci Amerykańscy.

Nikt nie zauważył nawet, iż jednocześnie w odległych dzielnicach wielkiej stolicy świata 14.000 manifestantów pod moskiewską batutą histeryzowało na cześć Sacchó i Venzetti.

A gdzieindziej znów, gdyby rzucając bezczelne wyzwanie ludom spragnionym pokoju, „demokratyczny" Prezydent Rzeszy, marszałek Hindenburg, przyjmował paradę ku uczczeniu zwycięstwa w roku 1914 pod Tannenbergiem i... zaklinał się jednocześnie, iż fałszywie oskarżają Niemców o spowodowanie wojny.

Wśród Legjonistów byli i starzy weterani Wielkiej Wojny, i kobiety, które tak zaszczytnie zasłużyły się w służbie sanitarnej i opieki nad żołnierzem, a nawet i dzieci, które dumnie w pochodzie niosły kask bojowy zmarłego ojca.

Pragnąc zaznaczyć ogólną komunję ducha, której wyrazicilami są delegaci Stanów, prezydent Coolidge nadesłał na ręce prezydenta Doumerque'a pismo, przepojone uczuciami przyjaźni dla narodu francuskiego.

Jakże błahemi stają się nieznaczne incydenty, które zdarzyły się w stosunkach między Francją, a Stanami Zjednoczonemi! W niepamięć poszły wszelkie drobne zgrzyty wobec uczuć szczerej przyjaźni, którą zrodziło braterstwo broni w służbie wielkiej idei wolności.



W barwnych mundurach defilują Legjoniści, wzbudzając entuzjazm tłumów

W państwie czerwonego chama

Obrazki współczesne z Moskwy



„Gori, gori, swiecza"...
Cień nawet w jednym z ostatnich portretów Lenina u-kłada się w dziwaczne jakies kontury, przypominające czarta z rogami

W chwili, gdy bolszewicy przygotowują się do uroczystego obchodu dziesięciolecia swoich rządów, coraz wyraźniej w znękanym kraju występują oznaki wewnętrznego fermentu i jawnego buntu przeciw znienawidzonej władzy.

To samo i na zewnątrz.

Przechwalana polityka zagraniczna Sowietów naraziła się na bankructwo, ponosząc klęskę zarówno w zachodniej Europie, a przedewszystkiem w Anglji, jak i na dalekim Wschodzie.

Nie pomaga to nic, że „Prawda" lub „Izwiestja" (Wiadomości) zasypują opinję świata fałszem i kłamstwem. Nie pomaga również, iż obfity materjał fotograficzny stara się zasuggerować prasie zagranicznej raj na ziemi, panujący w Sowietach.

Wszyscy przekonali się już aż nadto, iż w „Prawdzie" niema „izwiestij" (wiadomości), a w „Izwiestjach" (w wiadomościach)—„prawdy".

Zresztą co do fotografij, które winny być dokładnem odzwierciedleniem rzeczywistości, możnaby zapytać, czemuż to nie dopuszczono, by ktokolwiek z przyjezdnych robił zdjęcia na własną odpowiedzialność?

W tych warunkach ilustracyjny materjał propagandowy wymaga tylko odpowiednich podpisów, by otworzyć oczy na utajony w fotografjach prawdziwy sens.



Mimo wielce korzystnych ofert, skradzione klejnoty cesarskie nie znalazły nabywców

Wszystko, cokolwiek mówią, piszą czy ilustrują o sobie Sowiety, obliczone jest na eksport, by fałszem, kłamstwem i obłudą otumanić świat cały.

A w tym samym czasie codziennie niemal dowiadujemy się, że tu zamordowano czekistę, tam członka miejscowego sowietu, gdzieindziej znów urzędnika władz centralnych, a wszystko dlatego, aby dać wyraz odwetowi za znienawidzoną powszechnie tyranję i zrujnowanie bytu miljonów ludzi.

Ferment rośnie z dnia na dzień, wywołując panikę wśród okrutnych satrapów, którzy napróżno szukają punktów oparcia w razie rozpętania żywiołowego buntu.

Przez szereg lat, coprawda, wychowywano, a właściwie deprawowano zastępy młodzieży, ujęte w pozornie karne szeregi „komsomolców", którzy dziś, stając przed portretem wielkiego Lenina, nucą mu zcicha osobliwą piosenkę pośmiertną:*)

W szest czasow tridcat minut,
priszoł Leninu kaput...

— — — — — — — —

Ja pojedu k Iljiczu,
kupliu Leninu swieczu.
Ty gori, gori swiecza
w krasnoj żopie Iljicza...

Jak widzimy, z niewybrednej piosenki, zgasła wiara wśród tłumów, że Iljicz to bóstwo, przed którem należy się korzyć.

A przecież to „komsomolcy", cóż dopiero mówić o młodzieży, która wymyka się z pod kurateli bolszewików?

Lecz próżno szukalibyśmy wśród rzesz malkontentów jakiegokolwiek planu reakcji. Cieszy się tylko znękana ludność, gdy widzi, że sami przywódcy podzielili się na obozy, i cicho sobie myśli :niechaj się biją, niechaj się zwalczają, a na gruzach

*) O szóstej godzinie minut trzydzieści zrobił Lenin kaput...

— — — — — — — —

Pojadę do Iljicza,
kupię Leninowi świecę.
Pal się, pal się, moja świeco,
w czerwonej d... Iljicza..



Nawet trybuna przypomina w zakładach „Czerwonej manufaktury" jakiś skomplikowany szafot. I wykrzykują stamtąd „humanitarni" bolszewicy na cześć Sacco i Vanzetti.



„Uświadomiona" armja sowiecka dostaje zawrotu głowy od pstrzących się na każdem miejscu napisów i haseł.

ich panowania może coś nowego powstanie.

Tu zaczyna się tragedja, właściwa dla duszy rosyjskiej, tragedja „niesoprotiwlenja złu" (nieprzeciwstawiania się złu).

Czyż mogło być inaczej, skoro przez szereg lat karmiono ludność specyficzną strawą duchową, która do reszty ją zdegenerowała i przytępiła.

Bolszewicy pomyśleli o ujarzmieniu dla swoich celów nawet ducha twórczości, zmuszając, by zastosował się do ich programu. Zadbali również, by powstała nowa twórczość, sztuka proletarjacka, oparta na teorjach estetycznych z nieprawdziwego zdarzenia iześrodkowana w odpowiednich centralach.

Oto przykład jednego z takich uświęconych utworów w dziale poezji:



Akademja Sztuk Pięknych na płocie, wygląda wcale demokratycznie. Czarujące typy na dziełach sztuki odpowiadają duchowi czasu w Rosji.



Gdybyż wiedzieli nasi komuniści, którzy tak licznych zwolenników znajdują wśród żydów, że i synagogi zamieniają bolszewicy na kluby i domy rozpusty.. Nawet Bronszteiny ze wstydu nazwali się Trockimi.

Narody,
płomień,
swoboda,
czerwony
sztandar..

Niczem jest jeszcze ten utwór, gorączkowa elukubracja narodowo-rządowego barda, Majakowskiego, w porównaniu do utworów, które produkują skoncentrowani w tak zwanym „Lewie" specjalni sowieccy „artyści".

Oto przykład:

Zgara amba
zgara amba
zgara amba
zgara amba
amb
Pień, len, dzień, cień,
pok, lok, dok, tok,
rcza, rcza
amb..

„Poezja" ta przeznaczona jest chyba na wypadek, gdyby w Afryce czarni stali się „czerwonymi".

A jednak wszystko to jest wynikiem specyficznego planu Kominternu, zmierzającego ku temu, aby nawet w sztuce obowiązywała komunistyczna estetyka, którą propaguje specjalnie w tym celu powołana instytucja: „Wsierosijskaja Associacija Proletarskich Pisatielej", w skrócie — Wapp.

„Wapp" dzieli się na oddziały, które przyswajają sobie nazwy od miast, a więc „Lapp" w Leningradzie, „Mapp" w Moskwie, „Rapp" w Riazaniu. „Tapp" w Tule i t. d.

Słowem cham i kanalja ducha pragnie zatriumfować w całej pełni.

Głoszony z emfazą plan wychowania mas przez sztukę w metodach blagi sowieckiej zrodził bezgraniczne ogłupienie, zwierzęce otępienie i trupie zobojętnienie, w którem, jako błędny cmentarny ogień, przebija czasem i to jedynie wiara w nieuchronny fatalizm...



Sielanka na morzu, czyli wizyta dziewic (?) u „kultbazów" floty czarnomorskiej.

Zbluzgany krwią gmach władzy Sowietów drży w swoich posadach i może ziści się nadzieja emigranckich sfer rosyjskich, iż bolszewizm runie sam przez się i w pył się rozleci.

Ale czy te emigranckie sfery rosyjskie biedne i znękane nauczyły się czegokolwiek? Czy „moskal" nie przestał w nich być barbarzyńcą w stosunku do innych narodów świata?

Niestety...



Nosił wilk, ponieśli i wilka.
Z oburzeniem opisuje bolszewicka prasa szczegóły zamachu terorystycznego na klub komunistyczny w Leningradzie.



„Smirno, gaspada Komisary".. Wszystko prawie, jak dawniej, uroczyście i paradnie, tylko tradycyjne sztandary zamienione zostały na propagandowe płachty, a „czudo-bogatyri" chodzą w łapciach.

III Międzynarodowy Kongres Naukowej Organizacji w Rzymie



Delegaci polscy w grupie uczestników Kongresu Naukowej Organizacji, który się odbył w Rzymie. Stoją: pp.: Jadwiga Wilska, Stanisław Tor, Grażyna Drzewiecka, prof. Karol Adamiecki, Marja Romanowa, Irena Szumlakowska, Stanisław Raźniewski, Witold Sągajłło, Piotr Drzewiecki, Irena Jabłowska, Jan Feist, Zofja Raźniewska, Kazimierz Jabłowski, Stanisław Borkowski (sekretarz delegacji polskiej).

Dnia 5 września o godz. 10 rano w cudownej, wspaniałej sali na Kapitolu, zasypanej kwiatami i udekorowanej z przepychem wprost królewskim, w obecności 150 członków, reprezentujących 40 krajów, w imieniu rządu przywitał III Międzynarodowy Kongres Naukowej Organizacji minister gospodarstwa narodowego, p. Józef Belluzzo.

Kongres został podzielony na 4 sekcje: przemysłowo-handlową, rolną i handlu produktami rolnictwa, gospodarstwa domowego i administracji państwowej i komunalnej.

Wszystkich referatów zgłoszono około 140.

Delegacja polska w liczbie 46 osób pod przewodnictwem prof. Karola Adamieckiego i inż. Piotra Drzewieckiego ze sekretarzem p. inż. Stanisławem Borkowskim zgłosiła referatów 11.

Referaty te, dotyczyły przeważnie różnych zastosowań teorji harmonizacji prof. Adamieckiego w górnictwie, gdzie pionierem w tym kierunku był inż. Stanisław Kazaniewski.

Posiłkując się tą samą metodą reprezentant Ministerstwa Kolei, inż. Władysław Lisowski, omówił organizację kolejowych warsztatów reparacyjnych.

Inspektor Generalny Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, p. Stanisław Twardo wystąpił z referatem na temat systemów raportów w instytucjach administracji publicznej; prof. Biedrzycki Stefan — o metodzie harmonizacji w gospodarstwie rolnem; prof. Edwin Hauswald — w dwóch referatach omawiał systemy płac; p. Konstanty Kinel — trudności przy wprowadzaniu naukowej organizacji w życie ze strony robotników, dyrektorów i kapitału (właściwie braku kapitałów zakładowych), wreszcie, inż. Zygmunt Rytel zdał sprawę z powiększenia zarobków robotników i zniżenia kosztów produkcji w fabryce „Parowóz" na skutek wprowadzenia tam metod naukowej organizacji.

W sekcji rolnej organizację polską reprezentował profesor uniwersytetu lwowskiego Jan Henryk Gurski. W sekcji gospodarstwa domowego, pp.: Marja Romanowa i Irena Szumlakowska, która przedstawiła wiele ciekawych pomysłów i wniosków.

W przemówieniu swojem, wygłoszonem w czterech językach Mussolini oświadczył, iż sam jest pionierem Naukowej Organizacji i szuka możności jej zastosowania we wszystkich dziedzinach administracji państwowej.

Po zamknięciu Kongresu delegacja polska zwiedziła szereg zakładów przemysłowych włoskich: w Rzymie wspaniałą fabrykę broni, w Turynie zakłady Fiat i w Medjolanie zakłady Breda.

Podkreślić należy z uznaniem, iż przedstawiciele rządu włoskiego ze szczególną uwagą śledzili obrady Kongresu, słusznie przypisując ogromną wagę naukowej organizacji.

TEATR i SZTUKA

Dyrektor Lorentowicz o bieżącym sezonie

Dyrektor Lorentowicz w następujący sposób omawia bilans zeszłoroczny i plan na sezon przyszły Teatru Narodowego:

— Uważam poprzedni sezon, zważywszy zwłaszcza stan, w jakim objąłem teatr, za szczęśliwy. Kasowo osiągnęliśmy o 200 tysięcy wpływu więcej, niż poprzednio. Mimo że Teatr Narodowy z natury rzeczy bardziej jest skrępowany w doborze repertuaru, niż teatr prywatny, i zmuszony jest nieraz iść nawspak gustom szerokiej publiczności, z przyjemnością stwierdzam, że ani jedna sztuka nie padła, niektóre zaś odniosły znaczny sukces. Stosunek wieczorów poświęconych sztukom polskim a obcym był 232 do 164; te zaś obce sztuki, to Sofokles, Schiller, Molier, Musset... „Śluby panieńskie“ Fredry utrzymały się na afiszu przez 29 wieczorów i oczywiście zostaną w repertuarze na stałe. Stworzenie żelaznego repertuaru jest jednym z głównych moich dążeń. Jesteśmy pod tym względem dopiero w początkach. Komedja Francuska ma 160 sztuk, które może grać w każdej chwili; ja jestem narazie szczęśliwy, że mam ich cztery: „Cyd“, „Śluby panieńskie“, „Edyp“, „Don Juan“.

W układzie personelu teatralnego zaszły zmiany dość duże. Pragnąłbym, aby na przyszłość było inaczej. Będę dążył do ustabilizowania personelu, bez czego nie może być mowy o repertuarze. Obecny bilans personalny przedstawia się tak:

Straciliśmy z żalem p. Pancewiczową-Leszczyńską, zyskaliśmy wzamian p. Ćwiklińską. Przeszli do Teatru Narodowego pp. Gawlikowski, Justjan, Łuszczewski, Dulębianka, Zelwerowicz.

Sezon rozpoczynam „Agisem“ Słowackiego, którego inscenizację własnego pomysłu przywiozłem z moich wywczasów w Truskawcu. Reżyseruje Chaberski. Dzieło to pierwszy raz ukaże się na scenie. Damy „Agisa“ zaraz, skoro tylko ustąpi z afisza „Niewierna“, w której Ćwiklińska święci takie triumfy.

Następnie „Dziady“ Mickiewicza. Ale ponieważ Zelwerowicz, który reżyseruje „Dziady“, nie zdążyłby ich przygotować tak szybko, dam tymczasem komedję „Radość kochania“ Verneuila, w której również Ćwiklińska znajdzie dla siebie świetną rolę. Z polskich sztuk: Kiedrzyńskiego „Romans florencki“, Siedleckiego „Pani Eliza“, Miłaszewskiego „Bal w obłokach“, nowe sztuki Krzywoszewskiego, Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Grubińskiego. Wznowimy „Pana Damazego“ z Kazimierzem Kamińskim. Dalej „Bolesław Śmiały“ Wyspiańskiego, „Ptaki“ Arystofanesa, „Peer Gynt“ Ibsena, „Iwan Groźny“ Tołstoja, „Chory z urojenia“ Moliera. Z nowości zagranicznych mamy w planie „Godzinę“ Maeterlincka, „Czarodziejstwo miłości“ Lenormanda, „Ognie sztuczne“ Chiarellego.

Ale przedewszystkiem uważam, że zadaniem i racją bytu Teatru Narodowego jest służyć twórczości polskiej. Jeżeli sięgam zagranicę, to dlatego, że nie da się karmić publiczności wyłącznie obrokiem retrospektywnym, a nasi pisarze, niestety, zbyt mało dostarczają współczesnego repertuaru.

M. S.

Z lekkiej Muzy

Rewja „Hallo Nowości“

Na wzór wielkich europejskich teatrów rewij, powstał w gmachu „Nowości“ teatr o charakterze music-hallu.

Inauguracyjne przedstawienie przekonało nas, że, o ile z jednej strony impreza tego rodzaju może u nas z powodzeniem prosperować, gdyż i nam nie brak ani polotu, ani odpowiedniego materjału (kostjumierów, dekoratorów i baletmistrzów), to z drugiej strony przy wadliwem kierownictwie artystycznem walory te mogą się zatracić. Nikt nie wątpi o zdolnościach i kulturze kierownika artystycznego teatru Nowości, p. Toma, wiele się nawet po nim spodziewać należy, ale dziwi nas, że, o ile wszystkie numery kostjumowe, ensemblowe i choreograficzne wypadły imponująco (oprócz dekoracyj, które nie wszędzie dopisały), to czynnik humoru był reprezentowany niezwykle blado i jakby z wielkim wysiłkiem. Między innemi i konferonsjerka, jako powiązanie



Malownicza scena w stylu Paryża z „Rewji“ w Teatrze Nowości

poszczególnych numerów, była nieciekawa i mało dowcipna. — Wpływało to ujemnie na widza i niekorzystnie uprzedzało go do produkcj.

W rewji „Hallo-Nowości" na pierwsze miejsce wysuwa się sztuka taneczna w ogólności, produkcje zaś zagranicznej pary tancerzy Ossi Roondje et Ninon w szczególe. Taniec tej pary doprowadzony jest do doskonałości: w technice idealnie czysty, w plastyce dekoratywny, a w akrobatyce perwersyjny. Zespoły taneczne (około 70 osób) efektownie ubrane i zdyscyplinowane— robią dobre wrażenie.

Ulubienica publiczności Zula Pogorzelska mimo niedyspozycji zręcznie i z powabem wykonała kilka numerów.

Pozostały zespół — w miarę dobry i na miejscu.

Należy mieć nadzieję, że następny program będzie lepszy. Każdy początek jest trudny

Rewja „Moryc"

Dziewiąty sezon swojego wesołego istnienia rozpoczął teatr „Qui pro quo" pierwszorzędną rewją p. t. „Moryc".

Entuzjazm, z jakim premjerowa, a— dodajmy szczerze — powściągliwa i zblazowana publiczność przyjęła przedstawienie otwarcia, jest całkowicie usprawiedliwiony i uzasadniony. Bo też dyrekcja tej „kochanej, starej budy" uczyniła wszystko, aby swój teatr doprowadzić niemal do doskonałości, a w rzędzie teatrzyków stołecznych postawić na czołowem miejscu, asekurując go od wszelkiej konkurencji.

W pierwszym rzędzie personel: wyeliminowano z niego niepotrzebny balast i doprowadzono do takiego stanu kondensacji, że pozostały tylko same „asy". Ponadto doangażowano kilka nowych sił — Elnę Gisted, Wierę Pietrakiewicz i Lawińskiego.



Wiera Pietrakiewiczówna po „tournée" w Anglji, Francji i Hiszpanji występuje obecnie w „Qui Pro Quo".

Linja repertuaru uległa również modyfikacji — zrezygnowano z produkcji o cechach wybitnie music-hall'owych, kładąc raczej nacisk na teksty utworów.

I wreszcie pomyślano o orkiestrze, uzupełniając jej skład kilku niezbędnymi instrumentami.

Trudno, doprawdy, ustanowić, komu z wykonawców należy się palma pierwszeństwa, wszyscy bowiem tak walczyli ze sobą o lepsze, że sam zapał i humor, z jakim ten zespół otworzył swój sezon, rokuje mu jak najpomyślniejszą przyszłość i prawdziwe powodzenie.

W hierarchji Ordonka i Jarosy stoją na pierwszym planie, od nich też należy rozpocząć. Lecz cóż powiedzieć? Że byli mili, wytworni, dowcipni, rozśpiewani, roztańczeni? Że produkcje tych artystów — to najwyższa klasa wykwintu i sztuki ich rodzaju? To wszystko było już powiedziane. Zamiast jakiegoś superlatywu, niechaj nam w tem miejscu wolno będzie wyrazić im podziękowanie za radość, jaką nam sprawiają

Z nowych sił p. Gisted czarowała swoim przemiłym głosem, urodą i doskonale zgranym wspólnie z Jarosym sketchem „Gdyby ujrzeć znów". P. Wiera Pietrakiewiczówna, solistka znanego zespołu Djagelewa, odtańczyła dwa numery solowe, kompensując całkowicie niejeden liczny zespół taneczny. Piękny, pełny czaru poezji wiersz „Rozmowa drzew" z kunsztem zarecytowany został przez p. Kalinównę.

Pp. Lawiński, Krukowski, Dymsza i Minowicz dali tyle powodów do śmiechu, że publicznuość chciała wołać: — dosyć! Kapitalny jest Lawiński w swoich romansach cygańskich, groteskowy tercet „Niema tak dobrze" wypadł świetnie. Gwoździem programu jest finał pierwszej części z piosenką „Moryc" i „Oczekiwanie", piosenka wykonana przez Ordonównę w najczystszym stylu i rytmie amerykańskim. Dekoracje Galewskiego — kunsztowne. Kierownictwo artystyczne spoczywa w rękach dyr. Boczkowskiego. To mówi za siebie

M. S.



Z Wystawy foto-kinematograficznej w Warszawie

Rok cały oczekiwano z napięciem szumnie zapowiadanej imprezy międzynarodowej wystawy kinematograficznej.

Czego tam nie mieliśmy ujrzeć?

Atelier kinematograficzne i jego urządzenie, a więc modele atelier ze wszelkiemi nowoczesnemi urządzeniami, ostatnie zdobycze techniki itd. itd. Wytwórczość miała być zobrazowana w kolekcji tablic statystycznych, szkiców i projektów dekoracyj, w przeglądzie bogatych akcesoryjnych rekwizytów. A dalej, laboratorjum, w którem podziwialibyśmy proces zdjęć, materjały techniczne i zapoznalibyśmy się z szeregiem chemicznych artykułów w zastosowaniu do kina. W dziale projekcji, ujrzelibyśmy poza retrospektywnem zobrazowaniem powstania kina, aparaty, objektywy, węgle, reflektory, transformatory, urządzenia kabin itd. itd. A dział muzyczny, dział reklamy, dział architektury i dekoracji...

Czego tam nie było... ale tylko w projekcie

Zaczęło się, naturalnie, od honorów: komitety i kierownicy działów, protektoraty, korespondenci, jury konkursowe, — kogo tam nie było! Ten z tym, tamten z owym, gościć nawet mieli u nas i Cecil de Mille, i Douglas Fairbanks, i Chaplin, i „słodka „Mary"...

Międzynarodowa impreza zapowiadała się szumnie i interesująco.

Patrjotycznie usposobieni entuzjaści kiwali głowami z uznaniem i obiecywali sobie, że i rodzima produkcja przy tej okazji nie mało skorzysta, i dźwignie się może na pożądane wyżyny.

Wszystko tam było. Jednego zapewne brakowało, to środków materjalnych, które są przecież alfą i omegą każdego poczynania i potrafią zaimponować największym nawet sceptykom. I niewiadomo kto, kiedy i jak iskrę podrzucił, — wnet zaczęła się rejterada patronów i „honorowych", kierowników i popleczników — rejterada przeszła w popłoch, a dalej — Waterloo i abdykacja...

Wszystko prysło, został jeno świeżo poczęty plan, a że trudno go było opa-



Wszak wystawa, jak na wystawę przystało, daje tak wiele atrakcyj i to wszystkie darmo...

Cztery za złotego, aż cztery ekrany, cztery fortepjany, cztery „arcy-super-hiper-filmy“ — wszystko za złotego.

Cóż to znaczy?

A znaczy to, że gdy oparto się na planie, młodym, a bluffowym, który jednak został szeroko rozpublikowany, należało przynajmniej zachować pewne pozory, iż rzeczywistość bywa podobna do zapowiedzi, choćby jak muł do konia.

Najbardziej życzliwie usposobiony entuzjastu, który wysiądzie na przystanku przy ul. Szopena, by odwiedzić wystawę, szybko się przekona, iż gdyby nie przypadkowo połączony z nią salon fotografji, to nie byłoby na co patrzeć.

Fotosy, fotosy, fotosy bez końca, wśród lasu piętrzących się „ultra-super-modernistycznych“ kjosków, fotosy, które podziwiamy, rzeczywiście za darmo, w każdej bramie lub poczekalni kina. To nie wszystko, bo widzimy również trochę projektów dekoracyjnych „Ufy“, a nawet mechanicznego krokodyla, któremu podobno zrozpaczony entuzjasta odgryzł śrubę z ogona.

Nie. To jeszcze nie wszystko.

Parę aparatów dumnie się rozpiera obok odkurzacza i froterki, a tekturowe figury Cecil de Milla, Douglasa i innych, niewiadomo dlaczego wystawione przez jedną z agencyj filmowych, wzbudziły takie zainteresowanie, że nawet znany magazyn mód, pod firmą „Polkostjum“ zgłosił zapytanie o kupienie tych figur, celem udekorowania wystawy sklepowej przy ul. Franciszkańskiej, czy Gęsiej.

Całe szczęście, że Cecil de Mille nie przyjechał, bo umarłby pewnie z radości.

Jeden z patrjotycznie usposobionych miłośników sztuki kinematograficznej szukał eksponatów rodzimej produkcji: wiernie trzymał się kierunku, który mu strzałka na ścianie wskazywała, by nie zginąć w tłumie, natknął się wreszcie na 2 stoiska, w których nie było nawet fotosów i kupił... flakonik perfum krajowych i krajowego wyrobu tackę do chleba z napisem „Czem chata bogata“..

Tajemnica przystanku przy ul. Szopena już nie ma dla nas tajemnic.

Wystawa ta podobno wielce się przyczyni do ostatecznego ufundowania oddawna projektowanej „Ligi obrony przeciw wystawom“.

I to jest jej zasługą.

Trochę kunsztowniej niż w bramie, zupełnie tak samo, jak w poczekalni kinowej, jeden kręcący się u góry dysk dodaje chyba uroku.

tentować, więc był „do wzięcia“, gdyby dziewica.

Znów więc wystąpiły te same organizacje i osobistości, ktoś tam zapewne odpadł w ogólnym popłochu, ale znowu powstały komitety, komisje, kierownictwa i temu podobne niezbędne akcesorja, młody plan ubrano w kuse wprawdzie, ale nowe szatki i otworzono wystawę.

„Le roi est mort, vive le roi“.

Takim okrzykiem powitali domorośli „specjaliści“ ekranowi nowe przedsięwzięcie, lejąc łzy rozczulenia i radości do kieliszków.

Krzyknęli... i zdumieli, nikt bowiem wśród tłumów nie podchwycił ich toastu i widać było, że nawet, gdyby kieliszki im rozdano, milczałyby jak zaklęte.

Skądże raptem ten brak entuzjazmu?



„Kolosalna“ pomysłowość wystawców kinematografji, godna drugorzędnego magazynu konfekcyjnego.

Krzesło elektryczne



Thoskil Basford dobrowolny ochotnik na krzesło elektryczne

Kara śmierci, jako taka, od wieków stosowana jest przez ludzkość, która, w miarę postępu cywilizacji usiłowała wnosić wciąż nowe udoskonalenia, w sposobie gładzenia, by móc złagodzić i skrócić skazańcowi proces rozstawania się z życiem.

W starożytnej Grecji i Rzymie, skazaniec, o ile pochodził ze sfer uprzywilejowanych, mógł sam nad sobą dokonywać wyroku, w Grecji przez zażycie trucizny, w Rzymie zaś przez otwarcie sobie żył. Obok tych sposobów, zwykłych przestępców skazywano na najokrutniejsze przedśmiertne męczarnie. Ukrzyżowanie, pal, fosa lub arena z drapieżnikami — były pasmem nieskończonych tortur.

W średniowieczu, a nawet w pierwszych początkach nowożytnej historji nie wiele poczyniono postępu w kierunku humanitaryzmu. Przeciwnie nawet, epoka, w której sankcjonowano straszliwe i wyrafinowane męki przy badaniach, nie mogła usposabiać do względów litości przy samem zadawaniu śmierci. Paleniu żywcem na stosie, które trwało nie mniej 10 minut przyglądały się tłumy ludzi, choć widok był okropny. Najszybszym sposobem gładzenia było ścięcie, lub wieszanie.

Udoskonalenie w technice ścięcia zostało wprowadzone na kilka lat przed Rewolucją Francuską, przez wynalazek gilotyny.

Naturalnie, że i w tej dziedzinie, Amerykanie zapragnęli dzierzyć pierwszeństwo.

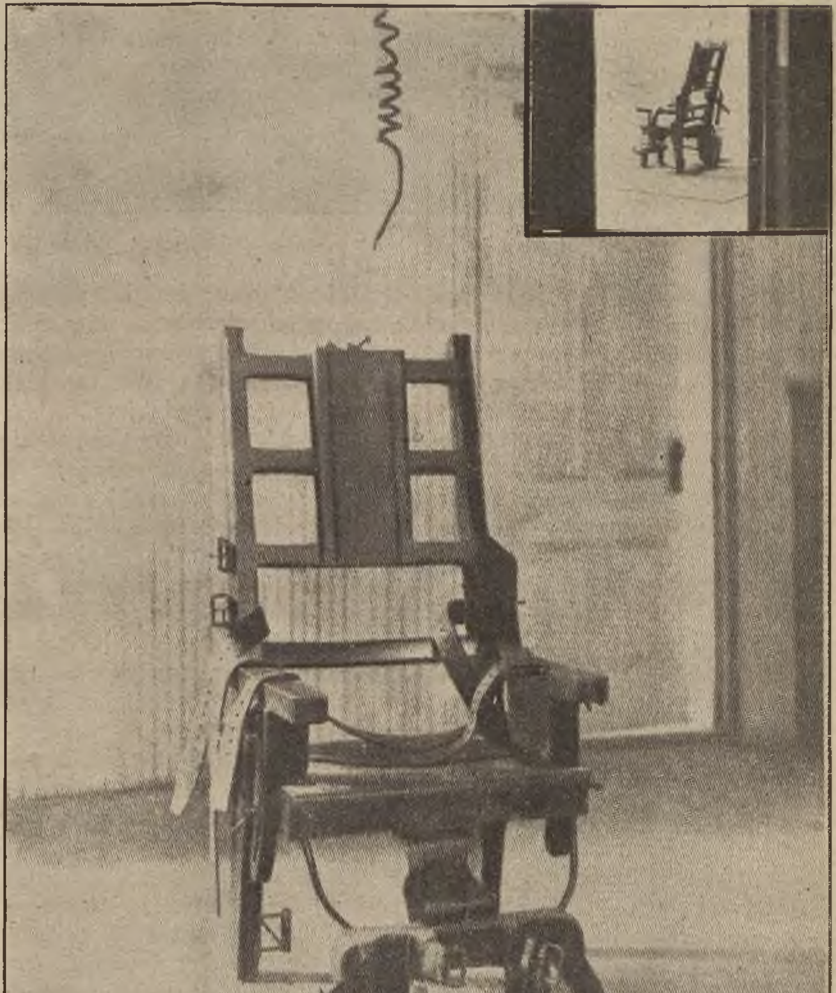
W roku 1890 wprowadzono po raz pierwszy stracenie na krześle elektrycznem.

Pierwszym skazańcem był Amerykanin, nazwiskiem Kemmler, który dzielił powszechną emocję społeczeństwa, oczekującego pierwszej próby, jako wielkiej sensacji. „Premjera“ ta, mimo rozreklamowania, była strasznem widowiskiem, tem więcej, iż skonstatowano fatalne funkcjonowanie aparatu. Kilka osób zemdlało. Jeden tylko „operowany“, do ostatniej chwili zachowywał spokój, ba, dumny nawet zdawał się z tej „głównej roli“, która mu przypadła w udziale. Uprzejmie pożegnał się z lekarzem w chwili, gdy mu ten przykładał elektrody do głowy, nie przeczuwając, iż, śmierć nie nastąpi odrazu. Powtórzono operację i ciało Kemmlera zostało poprostu zwęglone.

Stracenie Sacco i Vanzetti dało znów powód do komentowania tego zagadnienia, przyczem nie mało głosów, wyraziło wątpliwość, co do rozreklamowanej humanitarności śmierci przez elektryczność.

Znalazł się nawet pewien oryginał, niejaki Thoskil Basford, duński literat, który zaproponował rządowi Stanów Zjednoczonych, iż podda się próbie (?) stracenia na krześle, pod warunkiem, iż będzie poddany działaniu prądu przez krótką chwilę.

Dziwne amatorstwo, którego nawet względy humanitarne nie mogą usprawiedliwić...



Tron elektryczny przynosi rzekomo maximum komfortowej śmierci

Pięciolecie „Aerolotu“



Rewja aparatów komunikacji pasażerskiej na polu Mokotowskiem wypadła imponująco

W ubiegłą niedzielę licznie zebrani na polu Mokotowskiem w Warszawie przedstawiciele rządu i społeczeństwa brali udział w obchodzie jubileuszu pięcioletniej działalności Polskiej Linji Lotniczej.

Gdy pięć lat temu założyciele „Aerolotu„ z trudnością zebrali odpowiedni kapitał, by uruchomić pierwszą w Polsce linję lotniczą, dokładnie zdawali sobie sprawę z nastręczających się trudności. Zebrane fundusze w słabej zaledwie proporcji odpowiadały skali wydatków na zakupno aparatów, zaopatrzenie w części zamienne, — stałe wreszcie pokrywanie strat, które przy pierwotnym braku zaufania ze strony społeczeństwa do tej inowacji w dziedzinie komunikacji, zmniejszały się bardzo powolnie.

Co znaczą atoli największe trudności, gdy na czele instytucji stoją ludzie o śpiżowej energji, a do współpracy zapraszają dzielnych lotników i rutynowanych mechaników, którzy, dzięki wytrwałości swej, potrafią przemóc nieufność publiczności i dowieść, że lotnictwo jest jednak najzupełniej pewnym środkiem komunikacji, przez pięć lat bowiem przebyto nie mniej 3 miljonów kilometrów bez utracenia jednej przesyłki pocztowej i bez ofiary na życiu ludzkiem.

Gdybyż tylko ograniczono się na zorganizowaniu komunikacji? Nie ustając w swych zabiegach około stałego udoskonalania samej komunikacji. Dyrektorzy Aerolotu z wytrwałym pionierem lotnictwa cywilnego drem Aleksandrem Wygardem na czele, pomyśleli o kompletnem uniezależnieniu się od zagranicy, zakładając stocznię, w której wyrabiane jest już 80 proc. części samolotów i silników lotniczych.

Rozwój lotnictwa cywilnego ma istotnie kapitalne znaczenie. Zobaczymy naprzykład, jakiego wysiłku dokonali nasi sąsiedzi, Niemcy, w tym właśnie kierunku i jakie są ich skryte cele. Traktat Wersalski zakazał, by Niemcy rozwijali lotnictwo wojskowe, przebiegli baranko-wie, wobec tego, całą swą uwagę skierowali na rozwój lotnictwa handlowego i zorganizowali olbrzymią sieć komunikacyjną nie tylko w kraju, lecz zajęli również linje międzynarodowe, które wkrótce, oplączą nieomal cały świat. Te linje, jedne dłuższe, drugie krótsze, jedne o słabym ruchu, inne o nader intensywnym, wymagają obslugi przy pomocy aparatów najróżnorodniejszego typu, a tem samem stanowią doskonałą podstawę mobilizacyjną na wypadek wojny. Rutyna w dziedzinie fabrykacji motorów i aparatów ściśle łączy się ze stałą praktyką licznej rzeszy pilotów ,którzy w każdej chwili mogą nałożyć na skórzane kurtki odznaki wojskowe. Ponadto, stocznie niemieckie doszły do tak dokładnego udoskonalenia systemu produkcji, iż w kilka dni prawie zdolne są przystosować swą działalność do wymagań awjatyki wojskowej.

Niech przykład ten będzie nam wskazówką, iż nigdy nie należy odmawiać swego poparcia dzielnym pionierom idei, zwłaszcza jeśli pracą swą już dowiedli istotnych swych zasług, gdyż, zachęceni przez opinję publiczną i obdarzani jej zaufaniem, z pewnością zdołają pracować jeszcze skuteczniej dla dobra tego samego społeczeństwa i narodu, skąd czerpać winni źródło nieustającej energji.



RUCH SPORTOWY WŚRÓD ROBOTNIKÓW

W epoce, gdy polityczne roznamiętnienie ogarnia coraz szersze sfery, wciągając ludzi, do coraz częstszego spędzania zasłużonych chwil odpoczynku w zadymionych salach wiecowych, w atmosferze niezdrowego napięcia nerwów, — z uznaniem powitać należy rosnące zainteresowanie rzesz pracujących do sportu, jako godziwej i hygienicznej rozrywki.

Nikogo nie powinno razić, iż robotnicy w tym celu zgrupowali się w zrzeszenia, które pozornie noszą cechy klasowych stowarzyszeń.

Przywódcom tego ruchu chodziło przedewszystkiem o usunięcie argumentu, którym mogliby się wymawiać robotnicy, iż czas im nie pozwala oddawać się zajęciom sportowym.

Nie mniej ważnem było również usunięcie skrupu'u, iż życie sportowe, a co zatem idzie klubowe, zmusza robotników do nawiązywania stosunków towarzyskich. Nie znaczy to bynajmniej, iż robotnik nie mógłby brać udziału w tem życiu, sam jednak czuje się nieswojo w obcej sobie sferze i lata jeszcze miną, póki nie nastąpi niwelacja społeczna, która, zwłaszcza na terenie zainteresowań ogólnych jest tak pożądana.

Najwyższy poziom w robotniczych organizacjach sportowych osiągnęła ciężka atletyka i piłka nożna. Dość wysoko stoi kolarstwo. Uprawiane są pozatem boks, pływanie i narciarstwo.

Bilans osiągniętych rezultatów przedstawia się imponująco. O ile naprzykład związek warszawski, w roku 1925 liczył zaledwie 750 członków, to obecnie liczy już 10.000 członków i przypuszczać należy, sądząc po rosnącem zainteresowaniu adeptów sportu, iż wkrótce będzie osiągnięta cyfra 20.000 członków.

A wszystko zdobyte zostało własnym wysiłkiem przy minimalnem poparciu ze strony rządu i społeczeństwa.

AUTOMOBILIZM i WYPADKI

Mimo, iż amatorzy i zawodowcy automobilizmu poddawani są surowym egzaminom, nim otrzymają świadectwo na prawo jazdy, kronika wypadków wcale się nie zmniejsza.

Statystyka wypadków w Stanach Zjednoczonych notuje 19 tysięcy śmiertelnych wypadków i 450.000 wypadków cięższych lub lżejszych obrażeń. Przeciętna cyfra dzienna, którą stąd można wyprowadzić, wynosi zatem 52 osoby zabite i 5.650 pokaleczonych.

SPORT STRZELECKI



Zakończone zostały interesujące zawody o mistrzostwo polskie w strzelaniu, przynosząc niezmiernie cenne wyniki

KOBIETY, A SPORT



O ile właściwsze są wdzięczne ensemblowe ćwiczenia gimnastyczne, od brutalnych „wielobojów“ ciężkiej lub lekkiej atletyki

LOGIKA PRAWA I ŻYCIA



W wolnej Francji nawet zdarzają się paradoksalne fakty, iż aptekarzowi, a więc członkowi zawodu użyteczności publicznej, wzbraniają pracy w niedzielę, czego przykładem uwięzienia p. Rosset'a, aptekarza z St. Mandé. A jednak zwycię-żyła logika życia... Ilustracja nasza przedstawia owacyjne przyjęcie zgotowane p. Rossetowi po jego zwolnieniu z aresztu co było stwierdzeniem opinji ogółu.

ZWYRODNIENIE POWOJENNE...



Pewien nieborak, nazwiskiem Szol Hasfeld, uważał za bezpieczniejsze, by nie stawać do wojska, udawać zniedołężniałego. Czuła rodzina skorzystała z tego i przez 8 lat trzymała nieszczęśliwą ofiarę w ciemnej alkowie pod kluczem. Gdy-by nie przypadek, Szol Hasfeld zmarłby śmiercią głodową. Dziś jest w szpitalu, a czuła rodzina w więzieniu.

Moda

TROCHĘ O WSZYSTKIEM



Wdzięczne płaszcze „demi-saison"

Całe szczęście, że niewyczerpana w swych pomysłach, moda, znajdu-je ciągle szereg przeróżnych dro-biazgów, którymi lubi rozjaśniać jednostajność i szarość niejednej toalety i ratuje niejedną z pań od „życiowego dramatu".

Bo jakże to? Nic nowego nie mo-żna sobie kupić, to drogie, tamto zupełnie niedostępne...

Czemże nagrodzić sobie te pry-wacje, jeśli nie drobiazgami, które przypniemy sobie tryumfalnie „pour passer le temps" (bo to jest główną przyczyną).



Więc przedewszystkiem kwiaty. Olbrzymie muślinowe kwiaty, imponujące róże i piwonje, goździki — a że moda jest wymysłem niewiasty, więc, na złość samej naturze — barwy nie tylko rzeczywiste, ale również i modne odcienie: szary, czarny z białym, różowy, a nawet zielony.

Jak i w przeszłym roku, kwiaty będą się nosić zarówno przy sukniach, jak i przy futrach i kostjumach, na ramieniu, czy u pasa, o każdej porze dnia, a także przy strojach wieczorowych.

Trafną inowacją w dziedzinie zdobnictwa, jest zastąpienie imitacyj pereł innemi koljami: rżnięte szkło nizane na barwnych sznurkach, metal, naśladujący patynowane złoto, kunsztownie cyzelowany — kolje te z pewnością są więcej wyszukane, niż perly, choćby w wyrobie tak doskonałym, jak powszechnie znane Técla.

Na wszystko zato błagamy, nie naśladujcie, miłe panie, tych modnych ekscentryczek, które wyobrażają sobie, że noszenie „szmacianego" pieska pod pachą należy do dobrego tonu. Raz, że sam pomysł jest niesłychanie głupi, a powtóre, że tak daleko posunięta ekscentryczność przystoi chyba tylko tym paniom, o których lekkomyślnych obyczajach wolimy przez skromność przemilczeć.

Bilans per 31 grudnia 1926 r. Powiatowej Kasy Chorych WE WRZEŚNI

		STAN CZYNNY zł. gr.	STAN BIERNY zł. gr.
1.	Kasa	19.70.	—
2.	Lokacje	3.111.47.	—
3.	Papiery wartościowe	1.237.60.	—
4.	Pracodawcy	103.843.90.	—
5.	Dłużnicy i wierzyciele	60.256.99.	31.695,94.
6.	Towary	6.708.26.	—
7.	Ruchomość i Fundusz Amort. A.	10.678.04.	6.672.50,
8.	Nieruchomość B.	33.429.22.	4.871.39.
9.	Fundusz zapasowy A. 124.468.86.		
	„ „ B. 59.054.51.		183.523.38.
10.	Niedobór	7,478.02.	—
		226.763.20	226.763.20.

Rachunek działalności per 31 grudnia 1926 za 1926 rok

		zł. gr.	%	WYDATKI zł. gr.	DOCHODY zł. gr.
1.	Świadczenia { zasiłki	88.922.39.			
	{ koszty leczn.	289.627.33.	80	378.549.72	—
2.	Koszty administracji		89	41.856.29	—
3.	„ ogólne		22	10.186.07	—
4.	Odpisy na fundusze amortyzacyjne		06	2.646.35	—
5.	„ „ „ zapasowy		10	47.414.32	—
6.	Składki			—	451.316.04
7.	Kary i odsetki			—	12.499.17
8.	Zwroty z art. 48 ust. z dnia 19.5.20.			—	6.485.90
9.	Różne dochody			—	2.873.62
10.	Niedobór			—	7.478.02
				480.652.75	480.652.75.

Stan członków per 31 grudnia 1926 r.

męskich	6.132
żeńskich	2.722
razem	8.854
członków rodzin	11.747

Września, dnia 31. III. 1927 r.

Powiatowa Kasa Chorych we Wrześni

J. Skonieczny, księgowy Walczak, dyrektor Szambelan, przewodniczący Zarządu Wiśniewski, przewodniczący Komisji Rewizyjnej Oleinik, Olek, major rezerwy Szyfter, Kosmowski, Zasada — członkowie Kom. Rew.

Powyzszy bilans i rachunek działalności został przyjęty przez Główny Urząd Ubezpieczeń reskryptem z dnia 31.5.1926, L. dz. 2347/G. U. U.

Rozmaitości Literackie i Naukowe

Dodatek do numeru 34 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“

REMIGJUSZ KWIATKOWSKI

O przyjaźni i przyjaciołach uwagi wschodnie

(Aforyzmy perskie)

Nie bierz wieprzy na przyjaciół,
bo ci zryją schedę,
źle, gdyś z niemi się skamracił,
nie bierz wieprzy na przyjaciół...
Niejeden się na tem zaciął,
choć miał ich czeredę —
nie bierz wieprzy na przyjaciół,
bo ci zryją schedę.

*

Kiedy pełna misa,
przyjaciół masz moc
z układnością lisa,
kiedy pełna misa...
Każdy ci dopisał
czy to w dzień, czy w noc —
kiedy pełna misa,
przyjaciół masz moc.

*

Kto się zawiódł na przyjaźni,
ten szanuje wrogi.
każdy z nich już mniej go drażni,
bo się zawiódł na przyjaźni...
Ten i ów się na tem zbłaźnił
pośród życia drogi —
kto się zawiódł na przyjaźni,
ten szanuje wrogi.





PRZY KOMINKU

Wszystko na świecie musi snać zachowywać pewną proporcję, nie darmo więc, gdy mowa o opilstwie, jednocześnie na myśl przychodzi obżarstwo.

Mówiliśmy już o festynach, na które składała się długa litanja podań, mówiliśmy o opojach, co garncami łykali, „gdyby beczki", wszelakie trunki. Starożytna kronika notuje również i sławnych żarłoków, z których dość będzie wspomnieć takiego księcia Bohdana Ostrogskiego i śniadaniowe „menu" owego męża, by wyobrazić sobie biesiadną kompanję tych czasów.

Skromne to śniadanie składało się z 1/4 skopowiny, 1 gęsi lub pary kapłonów, pieczeni wołowej, trzech bochenków chleba, sera „ad libitum" i dwóch garncy miodu.

Szczęście, że produkty były nie tak drogie, jak dziś, bo coby począł biedny książę!

*

Służył widocznie podobny tryb życia i nadużycia naszym antenatom, nie rzadko bowiem spotykamy w historji tak krzepkich starców, że wierzyć się wprost nie chce dzisiejszym przestrogom hygjenistów.

Nie mówiąc o Piaście, co jak mówią, dożył 120 lat, spotykamy taką Gerundę Denhoff, o której pewne, że zmarła w 130 roku życia. Albo Paweł Sapieha, który w 100 roku żywota sprawował urząd wojewody nowogródzkiego, lub Jan Krzetowski, powszechnie „Stryjem" zwany, co mężnie stawał w chorągwi, mając 103 lata. A Stanisław Dobrzelewski, co mimo 120 lat, żwawo sobie chadzał spacerem do kościoła. Stuletni starzec, Pobowicki, woźny trybunalski w Chełmnie, co to „jak ryknął: — Panowie, uciszcie się"! to aż słychać go było na drugiej stronie ulicy". Żyłaby może dłużej niejaka Jarandowska, gdyby nie umarła z przestrachu w 156 roku żywota, gdy Szwedzi oblegali Toruń. A Napoleon, co wiele rzeczy widział, nie mógł wyjść z podziwu, gdy przedstawiono mu 114-letniego starca, który pamiętał innego sławnego wojownika, Sobieskiego.

*

W odpowiednim stylu do tej miodem i mlekiem opływającej epoki były i pewne koncepty kulinarne.

Oto umyślił sobie piekarzy warszawskich mistrz cechu, niejaki Gottlieb Szyller, by królowi Stanisławowi Augustowi, w dzień elekcji, ofiarować sążnisty, a pełen przemyślnych szczegółów własnego wyrobu upominek.

Upiekł więc imć Szyller okazałą struclę, 7 łokci długą, jakoże elekcja wypadła w dniu 7 września, przyczem użył mąki z 17 młynów, urodziny królewskie wypadały bowiem w dniu 17 stycznia; 32 przyprawy odpowiadały wiekowi elekta, a dziewięcioro dzieci Szyllera dźwigało tę struclę, albowiem wrzesień jest dziewiątym miesiącem roku.

Trudno chyba o więcej pomysłów!

*

Zastawa stołowa starodawnym zwyczajem nosiła szczególne napisy, oryginalnie świadczące o ówczesnem upodobaniu do zdobyczy i pamiątek.

Oto naprzykład charakterystyczny napis na łyżce:

> Nie kładź mię w zanadrze,
> Bym ci nie wypadła.

Inny napis przestrzega uprzejmie niedelikatnego gościa słowami:

> Mnie kto skryje,
> Bardzo mój pan bije.

Pewnie, że o wiele grzeczniej nie stawiać tak wyraźnie kropek nad „i", wystarczy herb lub monogram, by zadokumentować, iż zastawa należy do danego domu.

Inne przestrogi odnoszą się do zachowania się gościa przy stole:

> Nie przebieraj, gdy coś dadzą
> Kiedy za stół cię posadzą.

Przestroga ta jest najzupełniej na miejscu, jeśli zważyć ówczesne „sans-façon", które dozwalało, by w mię gościnności każdy dom traktować, jak swój własny.

Przymówki
jesienne

Złe, gdy jesień,
a i próżna kieszeń...

Jesienna słota,
to miarka deszczu,
a fura błota...

Gdy nadejdzie jesień,
nie narzekaj, gdyś wieśniak,
bo masz pełną kieszeń...

Jesień, gdy w mgle,
to na zimową pogodę złe. .

Rozpowszechniajcie „Ilustrowany Tygodnik Polski"

Po obfitem jadle, konkokcja snać pobudza do kwiecistego pełnego alegoryj wysławiania się, które przodkowie nasi skądinąd zaczerpnęli z łacińskiego.

Powiedzenia te, aczkolwiek sentencjonalno-alegoryczne, nie pozbawione są dowcipu.

Oto kardynał Radziejowski, rozprawiając z królem Janem Kazimierzem „de publicis", w ten sposób porównuje troski monarchy:

„Miłościwy Panie, na świecie, jak w łaźni, im kto wyżej siedzi, tem więcej się poci".

Jan Sapieha kanclerz litewski, na wspomnienie o pewnym magnacie, co chował u siebie piękną bibljotekę, z której atoli nigdy nie korzystał, znalazł niezmiernie dosadną przymówkę, porównując owego szlachcica do „garbatego, co garb za sobą nosi, ale go nigdy nie widział".

Jerzy Lubomirski, marszałek koronny, aczkolwiek sam był prowodyrem rebelji, mógł się wyrażać w ten sposób o wolności:

„Wolność polska jest, jako proszek na womith. Cokolwiek mamy jadu w sobie, albo na króla, albo na kogokolwiek z panów, kiedy się wolno o nich nagadamy, wszystko złe z siebie wyrzucimy. I byłby ten proszek lekarstwem prawdziwem. gdyby go rozum pod umiarkowaną dawał wagą, ale nieszczęście, iż to lekarstwo stało się już trucizną".

Arcybiskup lwowski, Solikowski, rozpaczając nad upadkiem Polski, porównuje ojczyznę do lampy oliwnej, „z której szczyptami każdy fortunę łapał, a żaden kropli oleju nie dodał. Dlatego coraz ciemniej świeci, a nakoniec i zgaśnie".

*

Zachowało się opowiadanie o niejakim Odrowążu, któremu, gdy w bitwie gębę uszkodzono, iż „zęby z wąsami stracił", w nagrodę ofiarowano starostwo kowieńskie, — kazał konterfekt swój namalować, na którym zęby w ręku trzyma, a pod spodem napis:

> „Dano mi chleba
> Kiedym zębów pozbył".

*

Pytano się pewnego razu Jana Żydowskiego, sędziego grodzkiego w Krakowie, czy za cudzołóstwo nie grozi kara śmierci?

— Jakże to myślicie — odparł sędzia — a przecz wszystkie tu widzę z głowami.



RENE DOUMIC.

Perła

Przechadzając się pewnego razu po Bagdadzie, stary Ahmed zauważył wśród wystawionych innych kosztowności perłę o niezwykłym blasku.

Ale ponieważ kupiec postawił cenę niesłychaną, a Ahmed, choć młody, potrafił trzymać na wodzy swoje zachcianki, przeto odszedł, westchnąwszy głęboko:

— Ha, trudno. Nie myślmy o tem.

Jednak myślał o perle i nazajutrz i wszystkich dni następnych.

Obliczył sobie, że na nabycie perły poszedłby nietylko całoroczny jego dochód, lecz musiałby także wyrzec się wielu rzeczy, do których był szalenie przywiązany. Naprzykład, trzebaby sprzedać oprawny w ramę, wysadzany brylantami, portret ukochanej matki.

Na to nie zdobyłby się nigdy.

Po tygodniu stał się posiadaczem perły.

Oprawić ją kazał w drogocenne kruszce, cudnie odrobione, a przechowywał w puderku, wyściełanem najkosztowniejszemi tkaninami. Perła spoczywała jak na ołtarzu. Godzinami modlił się do niej. Były to chwile najwyższego uniesienia. Spływały na niego z blasków klejnotu najsłodsze zachwyty, czar tajemny — jakby spojrzenie umiłowanej kobiety.

Ukrywał ją zazdrośnie przed ludźmi. Zdawało mu się, że każdy ktoby skarb jego ujrzał, próbowałby mu go wydrzeć.

Był szczęśliwy.

Otóż pewnego wieczoru Ahmed ucztował w gronie przyjaciół. Języki się rozwiązały. Opowiadano sobie coraz weselsze historje. Ktoś słyszał o kupcu z Bagdadu, który za fałszywą perłę postawił cenę dziesięćkroć wyższą, niż za prawdziwą i — znalazł nabywcę. Historyjka ta bardzo zebranych ubawiła. Ahmed śmiał się wraz z innymi.

Ale w głębi cierpiał mękę niewypowiedzianą.

Porwał perłę i w przystępie szału chciał ją zmiażdżyć.

Jakto, on był głupcem, który się stał pośmiewiskiem ogólnem! Jakże mógł być tak łatwowiernym? A



więc ten blask, ta przejrzystość, ten cud — wszystko to było fałszem!...

Ale któż nie byłby się dał oszukać?

Przecież znał się i tyle razy miał w ręku najcudniejsze skarby. A żaden nie dostarczył mu takiego zachwytu.

Przypomniał sobie chwile najwyższego zapamiętania i uniesienia i doznanego niekłamanego szczęścia.

Schował z powrotem perłę, błyszczącą cudownie, a zimną i zwodniczą.

Codziennie powtarzało się to samo. Przysięgał sobie, że perłę zniszczy, a gdy tylko wziął ją w rękę, znowu z całą siłą podlegał jej urokowi.

Zdarzyło się, że Ahmed znalazł kasetkę napełnioną drogocennemi kamieniami.

Ahmed zanurzył ręce w te cuda. Światła stubarwne przepływały mu przez palce.

Ogarnął go wówczas szał.

I za każdym razem powtarzał:

— Ahmed nie da się wam okpić. Ahmed się nie oszuka.

Stał się ponury i smukły. Od ludzi uciekał. Zamykał się samotnie całemi dniami. Przyjaciele zaczęli drżeć o jego rozum.

Pewnego ranka znaleziono go bez życia.

Przed nim żarzyła się wszystkiemi blaskami perła, spoczywająca jak na ołtarzu. Ostatnie jego spojrzenie było dla niej.

Czy było to spojrzenie pełne żalu i wyrzutów? Czy tu było to spojrzenie wdzięczności za złudzenie, które uszczęśliwiło go ponad wszystkich ludzi?

Nikt się tego nie dowiedział.

Ahmed zabrał tajemnicę z sobą na wieki.

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń...

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

— Te młode panny — zaopinjował w przestrzeń Nörwigh — są zupełnie pozbawione hypokryzji — zupełnie.

— A może — moralności i wstydliwości — rzucił gniewnie, wysoki i tęgi p. Müller, architekt z fachu, a człowiek „dobrych obyczajów" z zawodu, poza tem zresztą, osobnik inteligentny, miły, dobry i pompatyczny. Nörwigh zwrócił się w jego stronę:

— W Wiedniu, na jednej z przecznic Mariahilfstrasse, znajduje się kawiarnia „Mikado" — z damską obsługą. Do godziny 10 wieczór nie odznacza się ona niczem — po tej jednak godzinie, zasuwają w oknach nieprzeźroczyste żółte firanki. Nie byłem tam i nie wiem co się w niej dzieje, sądzę jednak, że cnota i wstydliwość w życiu grają rolę firanek w Caffee Mikado.

— Od takich powiedzeń krok tylko do propagowania rozpusty — obruszył się gwałtowny p. Müller.

— Rozpusta jest coprawda bankructwem cnoty — ale cnota jest też bankructwem — żądzy — wyjaśnił milczący dotąd Olwing.

Zhorski uśmiechnął się:

— Jako paradoks — dobre — ale jako myśl — pozostawia dużo do życzenia.

Młodziutki, czupurny Kiński — oponent z zasady, podjął rękawicę.

— Każda myśl ma objektywnie jednaką wartość. Gdy zaś chodzi o specyficzną skromność kobiecą i kobiecą wstydliwość zewnętrzną, należy ona do tych samych przeżytków co wiara w szatanów, czary, gusła, zaklęcia i tym podobne akcesorja dzieciństwa ludzkości.

— Pan tak sądzi — uśmiechnął się Olwing.

— Co „sądzę"?

— Że szatan, czary i zaklęcia — są to „akcesorja dzieciństwa"?

— Przypuszczam, że nietylko ja, ale każdy, każdy z nas...

— Parlez pour vous, parlez pour vous, mon ami, — zastrzegł się Nörwigh — my osobiście wierzymy w djabła z całą bezwzględnością.

— Nawet kościół, o ile pan wierzy, zabrania podobnych bredni.

— Kościół, mój panie, — odparł Olwing — jest zbyt mądry i stary, by mówić podobne... nieostrożności. Wręcz przeciwnie, skoro się pan już powołuje na jego autorytet, należałoby pamiętać, iż maxima heresia est maleficearum non credere.

— Przypuszczam — wysunęła się z szańców nadąsania, panna Majewska — iż mówiąc o szatanach ma pan na myśli pierwiastek zła, a mówiąc o czarach, złą wolę, kondensowaną niechęć i zawiść.

—Bynajmniej — nie wiem jak pan Nörwigh — ja osobiście wierzę i wiem, że istnieją czarodzieje w najrealniejszym tego słowa znaczeniu.

— Może mi pan pokaże choćby jednego. — ironizował Kiński.

— Owszem — z chwilą gdy mi pan pokaże atom, bakcyla raka, lub eter międzyplanetarny.

— Odnalezienie bakcyla raka jest kwestją czasu...

— Ujawnienie sobie egzystencji czarta jest też kwestją czasu... dla niektórych umysłów.

— Powiedz pan odrazu „lotniejszych" — nie krępował się Nörwigh. Kiński rzucił głową, lecz spotkawszy zimny wzrok Nörwigha, który go nie lubił, a który strzelał i fechtował się zbyt dobrze, by ryzykowano zatarg — pominął grymasem wstawkę.

— ...wiemy bardzo mało o życiu, błąkamy się po omacku w jego zagadnieniach, a chcemy kategorycznie i butnie sądzić o tem co istnieje, czy nie istnieje, poza granicami mgnienia ziemskiego bytowania. — Ciągnął dalej Olwing. — Z okruszyny dobytych doświadczeń wysnuwamy prawa, które zmienia i przeinacza każde nowo zdobyte zjawi ko — i w imię tych „praw natury" przeczymy wszystkiemu i wyśmiewamy wszystko, co nie mieści się w nikłych i szczuplutkich ramach, t. zw. wiedzy. Zapominamy, że „wiedza" ulega gruntownej przebudowie co pokolenie niemal, że wreszcie zbytnim zuchwalstwem byłoby sądzić, iż to co obowiązuje, nawet, kroplę błota, zwaną ziemią, obowiązuje wszechświat o którym nawet pańska „nauka" wie, że istnieje. Rosądkowi mój panie, przeczy to tylko, czego nie mógł owładnąć —jeszcze. A zresztą niewielka i chwiejna to rzecz: przeciętny rozsądek ludzki; odrzucał on nawet kulistość ziemi i jej ruch obrotowy. A może niejedno nieoczekiwane dziwiłoby nas mniej, gdybyśmy mniej butnie negowali — niepojęte.

— „Arcydziełem szatana, które niemal osiągnął, jest zabicie wiary w swe istnienie" — zacytował Nörwigh. — Że zaś nie przekonamy się wzajemnie, nie operujemy bowiem pojęciami zawartymi w tabliczce mnożenia — więc — panno Lu — mam obiecane piosnki! Dorzucę tylko, że osobiście, powiedzenie wielkiego Arago, trawestuje w ten sposób, że: szatan i czary jest to hypoteza, której potrzebę odczuwam coraz częściej.

Kiński uśmiechnął się:

— Nie jestem przekonany. Nawet zachwiany. Pozostaję przy prawach natury.

— Zechciej pan wziąć kieliszek, poprosił Olwing.

— No i cóż, — rzekł Kiński, biorąc.

— Cały — spytał Olwing ze skupioną nagle twarzą.

— Cały! Więc co?

Kieliszek pękł nagle w palcach Kińskiego.

— Nic! Pozostał pan przy prawach natury i zbitym kieliszku.

— Przypadek — wzruszył ramionami Kiński — albo mimowolny skurcz moich palców. Czy może pan zrobić to po raz drugi?

Olwing zapalił papierosa.

— Nie, panie — zauważył obojętnie i znudzony, a nawet jakby mocno niezadowolony.

— A widzi pan — triumfował Kiński.

W towarzystwie jednak zrobiło się nieswojo. Obojętność niczem niezmąconą zachowywał jedynie Nörwigh, oraz Lu, która będąc pod jego wpływem, naśladowała go dość wiernie.

— Obiecała pani zagrać — przerwał przydługą ciszę Zhorski — przypominam, że po daninie na rzecz upodobań Axela, ma przyjść Liszt — dla mnie.

Jakby chcąc rozprostować palce i rozedrgać głos, Lu uderzyła w klawisze w zawrotne tempo oberka nucąc nieskazitelną góralską wymową:

„Ciele l'uogon ma matulu
„Ciele l'uogon ma —
„Gdyby l'uogona nie miało
„Toby nie wywijało,

zaczem, przeleciawszy karkołomnym pasażem po klawiaturze, przeszła w popularną pieśń podchorążówki, z epoki Wielkiej Nawały:

„Ciele l'uogon ma...
„Trzy miesiące twardej szkoły
„Przejdą niby ciężkie dni,
„Przyjdzie wreszcie dzień wesoły,

Nörwigh, który mimo swą pozorną zniewieściałość, w dniach wojny stanął w szeregu, był wzorowym i odważnym oficerem, sam wychowanek podchorążówki, przysunął się nieco z fotelem do fortepianu i zmrużył oczy, by ukryć pod powiekami mgiełkę rozmarzenia i... tęsknoty.

Głos Lu potężniał i rósł w skali, pełen wojowniczego patosu i głębi odczucia uroku piosenki, by przejść w chwilę w swawolnie szyderską nutę:

„Że dowodzić będziem my...
„Byli sobie ochotnicy
„Co gdy przyszli bolszewicy
poszli na wojenkę srogą
„ratować ojczyznę drogą.
„Hej, hej, hej, baterjo!"

Zhorski, nie mogąc doczekać się przyjścia p. Aldony, wysunął się nieznacznie z pokoju. W tejże chwili naśladował go Olwing.

VIII

Do opartego o filar, w środkowym salonie Olwinga, znudzonym nieci i jakby niewidzącym wzrokiem wodzącego po zebranych, podsunął się zwolna gość niewidziany dotąd w apartamentach baronostwa Pappenholz-Pappenberg.

Szczupła ruchliwa figurka, poprawnie ubrana, poprawnie się ruszająca, nie zwracała na siebie szczególnej uwagi. Po za zabawnym dość nazwiskiem: Zanzulkiewicz, które gość ów wymawiał z nietajonym zadowoleniem, na uwagę zasługiwały jedynie rudawe, o przykrym odcieniu, włosy, małe, świdrujące i złe oczki, oraz dziwne, robiące wrażenie ruchliwych, zaostrzone u góry, uszy. Drobne, białe ręce zakończone były sinawymi, zakrzywionymi w dół, paznokciami. Interesujący się szczegółami obserwator, zauważyłby również niezwykłe u mężczyzny, drobne, bardzo spiczaste zęby. W klapie smokinga pan Zanzulkiewicz miał orchideję, na którą spoglądał co chwila z widoczną radością i dumą. Po za tem chwilami pochylał się tak, jakby miał ochotę stanąć na czworakach. Pan Zanzulkiewicz mówił mało i mało miał znajomych. Gdy postał jednak chwilę niedaleko młodej pani Czarskiej, rozmawiającej wesoło z emablującym ją porucznikiem Korpusu Sądowego o niezmiernie wojowniczym wyglądzie, ta, naznaczyła nagle swemu rozmówcy randkę — w jego mieszkaniu. W palarni p. S., któremu p. Zanzulkiewicz podał uprzejmie zapałkę, tak nieostrożnie stanął potem u kominka, iż nie zauważył jak spalił sobie nowiutki smoking, co przy jego stanie majątkowym było klęską nielada. Wyraziwszy należne współczucie poszkodowanemu, p. Zanzulkiewicz przeszedł do salonu i zaczął obserwować lokaja roznoszącego wina. Był nim sprawny Dżon-Jan, osobisty kameryder p. Seweryna — sprawność jego jednak i nawyk nie przeszkodziły mu wywrócić tacy pełnej nalanych kieliszków. Pan Zanzulkiewicz przysłuchiwał się chwilę wesołym biadaniom oblanych gości, zaczem począł wędrować po amfiladzie, gdzie natrafił wzrokiem na smukłą postać bar. Olwinga i skierował swe kroki ku niemu.

Stanąwszy o dwa czy trzy kroki od Olwinga, tyłem niemal do niego, patrzył roztargnionym wzrokiem na zebranych.

— Słuchaj — rzucił szeptem, nie ruszając niemal wargami, Olwing.

— Tak, panie.

— Staniesz we drzwiach koło lustra.

— Tak, panie.

— Musisz wiedzieć wszystko co będzie mówiła ta, którą ci wskazałem.

— Tak, panie.

— Czy dasz radę, czy zaostrzyć ci słuch. Będzie mówiła szeptem, a może być gwar.

— Czy mogę podejść na dziesięć metrów panie.

— Możesz.

— Dam radę panie.

— Zapamiętasz co do słowa. Co i komu.

— Tak, panie.

— Idź.

Pan Zanzulkiewicz, niezadowolony zapewne ze swego miejsca, posunął się ku drzwiom salonu.

Tymczasem Olwing, nie zmieniając stanowiska, przyglądał się niedbale Zhorskiemu, który krążąc koło p. Aldony, ujrzawszy wreszcie, iż chwilowo zabawia ją jedynie jakiś podstarzały wielbiciel, podszedł ku niej.

(D. c. n.)

Choroba morska

Czy jest coś piękniejszego nad podróż morską? Wyczerpany nerwowym trybem życia mieszkaniec wielkiego miasta nigdzie tak nie odpocznie, jak na pokładzie okrętu, oderwany od lądu w cudownem, bez kurzu powietrzu. Gdyby tylko nie choroba morska...

Cóż to jest choroba morska?

Lekarze nie są między sobą zgodni co do określenia jej istoty. Jednakże większość uważa chorobę tę za przejściową newrozę narządów, wywołaną ruchami statku. Nie wszyscy ludzie podlegają chorobie morskiej; jest dużo takich, którzy nigdy w życiu jej nie doświadczyli, i stwierdzone jest, że ilość tych szczęśliwych coraz się powiększa. Przyczynia się do tego niewątpliwie coraz większe wyrobienie ciała i zamiłowanie do sportów, nadające ludziom większą odporność fizyczną, ponadto dość ciekawy fakt, a mianowicie ogólna większa wytrzymałość na drobne dolegliwości (do takich śmiało zaliczyć można chorobę morską), jako rezultat wojennych przejść ludzkości. Stwierdzone jest, że już przyczyny natury psychicznej są w stanie spowodować chorobę: obawa przed niebezpieczeństwem, wstrząśnienia okrętu, obroty śruby okrętowej i t. p. wywołuje u osób mniej odpornych objawy chorobowe nawet na spokojnem morzu, kiedy ruchy okrętu są łagodne i dla normalnego człowieka znośne.

Na dowód słuszności powyższego twierdzenia cytuje jeden z wyższych lekarzy francuskiej marynarki wojennej fakt następujący:

Przed kilkunastu laty wracał on z Madagaskaru na pięknym statku „Messageries Maritimes" do Francji. Na morzu Śródziemnem spotkała ich silna burza. Statek musiał uporczywie walczyć z falami, to też większość pasażerów, szczególnie panie, rozchorowała się i leżała w swoich kabinach. Nad ranem nieoczekiwanie wstrząsnęło statkiem uderzenie tak gwałtowne, że wszyscy zdali sobie sprawę, iż zaszło coś nienormalnego. Okazało się niebawem, że pękł wał główny maszyny, obracający śrubę; okręt został zdany na łaskę i niełaskę fal. Dziwnym zbiegiem okoliczności dnia poprzedniego przy obiedzie kapitan opowiadał swoim pasażerom o podobnym wypadku, którego ofiarą padł niedawno okręt tegoż towarzystwa. O grozie sytuacji świadczył ruch, powstały na pokładzie. Wszystkie luki i otwory zostały pozamykane, pasażerom nie wolno było wychodzić na pokład, życie wszystkich zależało od tego, czy odłam wału nie przebije dna okrętu. I co okazało się w tym momencie: nawet najbardziej cierpiące panie zerwały się natychmiast ze swych łóżek i ubrane, prawie zdrowe zebrały się we wskazanem przez kapitana dla pasażerów miejscu. Nagły wielki przestrach uwolnił je od choroby morskiej, tak jak to się nieraz zdarza przy innych chorobach na tle nerwowem.

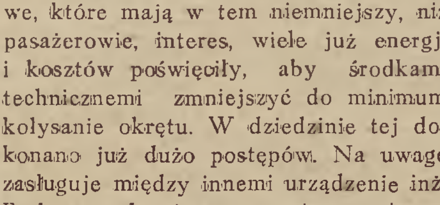
Nawiasem mówiąc, okazało się wkrótce, że dno nie zostało uszkodzone, po przejściu burzy statek spotkał angielski parowiec, który go szczęśliwie przyholował do Malty. Lekarz ten pisze dalej, że w lat kilka po tem zdarzeniu, jadąc na daleki Wschód, spotkał się na okręcie z częścią towarzystwa, z którem przebył tę pierwszą dramatyczną podróż. Okazało się, że żaden z pasażerów ani razu nie doznał od tego czasu morskiej choroby.

Na szczęście, aby uniknąć choroby morskiej, i mniej heroiczne środki są skuteczne. Normalnie, po kilku dniach, podróżny przyzwyczaja się do ruchów okrętu. Coraz bardziej nabiera zaufania do statku, a ponadto podróż morzem zaczyna wywierać na niego swój z niczem nie dający się porównać urok. Niemniej, lepiej jest przedsiębrać z góry środki zapobiegawcze, aby do choroby nie dopuścić. Towarzystwa okrętowe, które mają w tem niemniejszy, niż pasażerowie, interes, wiele już energji i kosztów poświęciły, aby środkami technicznemi zmniejszyć do minimum kołysanie okrętu. W dziedzinie tej dokonano już dużo postępów. Na uwagę zasługuje między innemi urządzenie inż. Frahma, polegające na umieszczeniu po obu bokach okrętów wielkich zbiorników z wodą, które dzięki swej bezwładności, nadają okrętowi równowagę.

Ale uchronienie podróżnych od morskiej choroby zależy nietylko od właściwej budowy okrętu. Podróżni sami posiadają w swej mocy szereg sposobów i środków do tego. Przedewszystkiem należy jaknajwięcej przebywać na pokładzie, naturalnie w zależności od stanu pogody, przepisów okrętowych i t. d. Dalej trzeba starannie unikać wszelkich nieprzyjemnych zapachów z kuchni, z maszyn, ze składów towarów i t. p. Nowicjusz, który czuje, że coś niedobrego z nim się dzieje, winien położyć się poziomo, spokojnie na plecach, najlepiej na leżaku, postawionym wpoprzek osi okrętu, jaknajbliżej środka i ciepło się okryć. Niebawem dozna ulgi, gdyż ruchy okrętu nie będą działały na niego nieprzyjemnie.

Jednym z najważniejszych warunków uniknięcia choroby morskiej jest nie wstępować na okręt z próżnym żołądkiem. Nie wolno jednak przesadzać, gdyż ze zbyt pełnym również jest niedobrze. Wskazane jest, aby pierwszy posiłek, podany na okręcie, spożywać w małych ilościach i najlepiej nie w sali jadalnej, a na pokładzie. Silne natury, które umieją panować nad swemi myślami, wrażeniami i odczuciami, z łatwością w ten sposób będą mogły uchronić się od morskiej choroby.

Gdyby jednak choroba przezwyciężyła odporność organizmu i gdyby pojawiły się objawy, jak bóle głowy i karku, mdłości, torsje, zimny pot, zawroty głowy, ogólna depresja, pomóc może tylko cierpliwość i poddanie się. Chory winien wówczas położyć się do łóżka i cierpliwie czekać, aż choroba przejdzie. Pociechą może być dla niego to, że przebieg choroby zawsze jest pomyślny, nikt bowiem jeszcze nie umarł na chorobę morską, stwierdzonem zaś jest przez długoletnią praktykę, że recydywie choroby zawsze można zapobiec zawczasu.



Kto żyje dłużej, tłusty czy chudy?

W odpowiedzi na to pytanie nowojorskie Towarzystwo ubezpieczeń na życie „Metropolitan Life Insurance Company" podaje ciekawe dane:

Im człowiek jest tłustszy, tem większe jest ryzyko co do jego długowieczności. Wyjątek stanowią ludzie bardzo młodzi, u których waga nieco większa od normalnej jest wogóle korzystna. Wśród takich młodzieńców śmiertelność jest mniejsza. Ale po 35 roku życia wszelka nadwaga jest niebezpieczna. U ludzi drobnych pomiędzy 40—44 rokiem życia nadwaga 20% pociąga za sobą zwiększenie się śmiertelności wśród nich o 30% ponad średnią. Waga zaś poniżej normalnej jest korzystna. Po 40 roku życia waga o 10 do 20% poniżej normalnej jest najkorzystniejszym stanem dla osiągnięcia długiego życia

Wśród pism i książek

Bronisław Gałczyński: RÓŻE W OGRODZIE. Warszawa, nakładem autora.

Nie jest to tytuł jakiegoś modnego zbioru poezyj albo nowel, lecz studjum o różach, jako kwiatach, symbolizujących czar i urok piękna.

Choć temat raczej ogrodniczy, lecz opracował go ktoś, kto wielbi róże, kto je kocha i przywiązany jest do ich krasy, stworzył więc ciekawą książkę, którą czyta się jak najciekawszą powieść czy poemat.

Bronisław Gałczyński, entuzjasta róży, znany jest jako jej wytrawny hodowca. To też zadał sobie trud, aby skreślić jej dzieje.

Mówi zatem o róży, związanej z dziejami miłości i z historją piękności kobiecej, o róży, która narodziła się w tej samej chwili, w której narodziła się Afrodyta, o róży, uwielbianej podczas uczt przez świat pogański w starej Grecji i Rzymie. Potem przechodzi do dziejów róży chrześcijańskiej, wtedy, kiedy to przebaczono jej dawne związki z Erosem i Afrodytą i przyjęto ją do klasztoru. Tam króluje róża, jako symbol piękności duchowej i miłości chrześcijańskiej, wydobywa się na czoło wszystkich sióstr swoich, staje na równi z liljią, a nawet zostaje kwiatem, poświęconym specjalnie Matce Boskiej, którą w litanjach wierni nazywają Różą. Trubadur wyprowadza różę z klasztoru i czyni ją symbolem miłości rycerskiej. Znajduje się odtąd na tarczy, na sztandarach, nad bramami zamków. Następne wieki wyróżniają różę, jako modelkę; mistrze malarstwa dają jej gościnę na swych płótnach, w czasie „rococa" róża staje się nieodzownym motywem wszelkiego zdobnictwa, na winietach, na meblach, na porcelanie, zwykle wśród amorków i z gołąbkami. XIX-y wiek stwarza we Francji kult róży, który zapoczątkowała cesarzowa Józefina, zakładając w Malmaison śliczny ogród, a w nim pierwszą na świecie wielką kolekcję róż.

Autor mówi o róży wiele rzeczy ciekawych, odnosi się do niej, jak do dobrego bóstwa, z którego rąk ludzkość otrzymywała wiele łask, marzy o tem, aby w Polsce powstało „Towarzystwo przyjaciół róży".

Najciekawszy w książce jest rozdział o „różach u Mickiewicza i Słowackiego", z którego dowiadujemy się, jak często obaj wieszcze wspominali w swych dziełach wonną królowę kwiatów.

═══

Halina Mieszkowska: O ŻABKACH I WRÓŻCE. Bibljoteka „Książek Różowych" Nr. 18. Warszawa, wrzesień 1927 r.

Rzadko, rzeczywiście, spotkać można coś podobnie miłego i bezpretensjonalnego dla dzieci, jak pięknym a prostym wierszem opowiedziane przez autorkę bajki o żabkach i wróżce.

Przyszła do mnie raz bajeczka
na promieniu od miesiąca
i usiadła mi na oknie
w księżycowych blaskach drżąca.

I zaczęła swe powieści,
różne dziwy, różne baśnie,
które, gdy kto raz posłyszy
słucha, słucha i nie zaśnie...

Nic nie mówi mi nowego,
bo to samo co przed laty
ale czyż to kto kaprysi,
że co rok te same kwiaty?

Już ten wstęp charakteryzuje dosadnie ton i urok bajek autorki, która pogodnie i z uśmiechem prowadzi małego czytelnika w bujny świat fantazji, każąc ożywać kwiatom, mówić motylkom, opowiadać różne przygody komarom — słowem całej naturze, żywej i martwej, obcować z dzieckiem, jak z towarzyszem, i budzić w niem szlachetne uczucia i myśli.

Tomik Haliny Mieszkowskiej, napisany z talentem, niewątpliwie będzie zaczytany przez dziatwę, świadcząc jednocześnie jaknajkorzystniej o redakcji „Książek Różowych", która naprawdę wartościowe utwory wprowadza do zaniedbanej u nas literatury dziecięcej.

Książkę zdobią liczne i dobre ilustracje Jadwigi Przeradzkiej.

═══

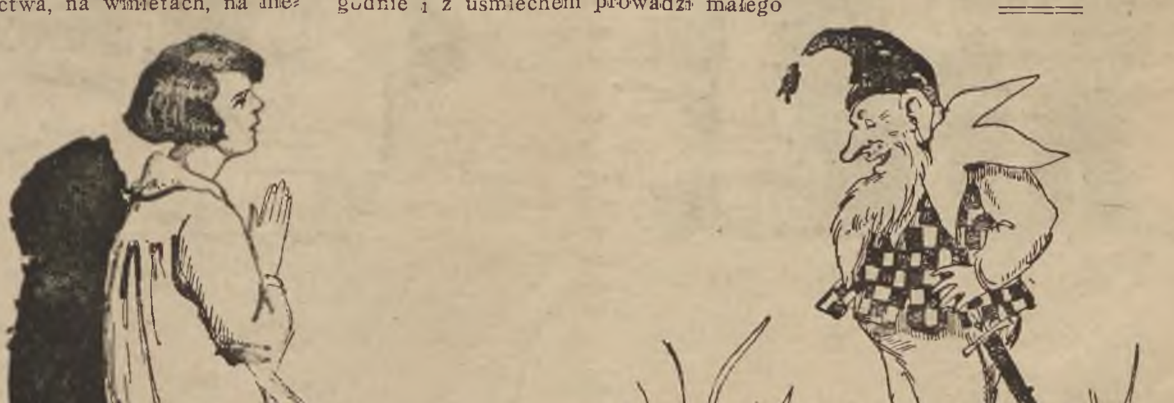
Kazimierz Kalinowski. GWIAZD ZAWIERUCHA. Nakł. Fiszera i Majewskiego w Poznaniu.

Zbiorek w tonie młodych, skomplikowany, bez sensu, spływający z wysokiego piedestału, który sobie oblubował autor, by na nim różne wyczyniać pieszczoty z muzą-uwodzicielką. Szczęśliwy! Inni gonią za muzą, a ona jego goni, porywa namiętnie w objęcia i miłośnie tuli.

Co za skromność! Ale też i zasługi ma autor niepospolite, o których sam z przejęciem pisze, chwaląc się z popełnionych 34 cyklów lirycznych, 17 poematów zwykłych i 17 poematów dramatycznych. (2×17=34, może i w tem jest jakaś perwersja).

Dopiero teraz, gdy znamy niezwykłą płodność poety, rozumiemy namiętność muzy do niego, chociaż chyba tylko tak sam o sobie mówi.

═══



„Książki Różowe" są bogato zdobione ilustracjami. Wdzięczne ilustracje do książki Haliny Mieszkowskiej „O żabkach i wróżce".

Kartki z humoru

AMATOR KWAŚNYCH JABŁEK



— Nie ruszaj, bo be...

BAROMETR



— Wyciął mi pan te odciski, ale jakże będę wiedział teraz, jaka będzie pogoda?

ZAWODOWE NAUCZANIE



— Jakże wam nie wstyd, żeby taki mały już żebrał?

— On nie żebrze, paniusiu, to mój czeladnik.

STRZEŻONEGO PAN BÓG STRZEŻE



— Czy umiecie prowadzić samochód?

— Skądże by?

— To popilnujcie w takim razie wozu.

CIĄGLE CHODZI...

Żyd zegarmistrz: Co pan gada, że to zły zegarek? Un już kilka razy z różnych pięter zleciał ze schodów, a ciągle chodzi.

— A któż go zrzucał ze schodów?

— Ny, to mnie zrzucali, ale ja jego miał w kieszeni, więc un leciał razem ze mną.

UDAŁO SIĘ...

O, jak szykownie jesteś dziś wystrojony. Czy otrzymałeś spadek? — Nie, tylko wstąpiłem do bankiera. — Jak ci się to udało? — Przez okno!

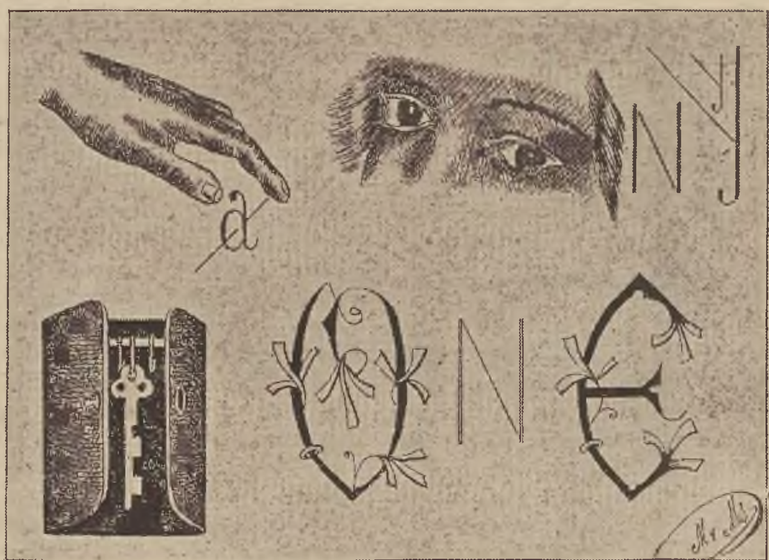
ROZLAZŁO SIĘ... JEDNO I DRUGIE

Panie! Tak się nie godzi! Garnitur, który mi zrobiłeś, rozlazł się po miesiącu! — A pieniądze, które mi pan zapłacił, odpowiada flegmatycznie krawiec, już na drugi dzień mi się rozlazły.

Rozrywki

Dodatek tygodniowy „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego", poświęcony rozrywkom umysłowym, z nagrodami dla Prenumeratorów

REBUS



SZARADA

(Ułożyła Janina Olszewska)

Pierwsza — czwarta: rzeka, miasto: trzecia — druga.
Panienki, niech która z was do mnie zamruga...
Niech mi słówko rzuci mile, co rozmarza,
wnet ją poprowadzę chętnie do ołtarza.
A że mi tak spieszno, jest w tem wielka racja,
bo mi całość zbrzydła, a z nią restauracja.
Żyć chcę, nie umierać, ożenić się pragnę...
Klnę się, że swą głowę pod pantofel nagnę,
cichy będę, skromny i pełen czułości,
niech mi tylko żona nie daje całości...

ŁAMIGŁÓWKA

(Ułożyła E. Klar)

A, am, bi, bi, bu, ce, cła, da, dasz, dog, dy, en, feld, ga, gar, gu, i, il, ju, kie, la, lat, la, lin, men, mon, mor, na, nas, o, ów, pa, ra, ru, ski, taj, wa, wa, wicz, zan, ze.

Z powyższych głosek ułożyć 10 słów, których litery początkowe, czytane na dół, końcowe zaś, czytane w górę, dadzą nazwiska, chlubnie znane w literaturze współczesnej, złączone samogłoską.

Znaczenie poszczególnych wyrazów: 1) książę litewski, 2) teatr paryski, 3) inaczej huk i nieporządek, 4) ten, co święci rocznicę, 5) owoc południowy, 6) po słowiańsku: rolnik albo parobek, 7) kamienie drogocenne, 8) pierwszy hetman kozacki, 9) czasomierz, 10) miasto pod Hanowerem, 11) pasterz czczony, jako bożek, 12) bohaterka z pism Orzeszkowej, 13) senator, 14) przysmak, ceniony przez żydów, 15) przyjaciel Mickiewicza, 16) zaimek wskazujący.

ZAGADKI CHIŃSKIE

Pomimo długiego czasu przeznaczonego na odgadnięcie zagadek chińskich, nikt nie nadesłał prawidłowej odpowiedzi na wszystkie. A więc odgadujemy je dziś sami.

Jako byk pośrodku pól,
leży ścichły ludzki ból...

(„Mogiła")

*

Choć bez stuku,
dużo huku...

(„Grzmot")

*

Bez hebla, a śliska,
jak srebro połyska,
chwiejesz się, jak pijak,
iść nie mogąc nijak...

(„Droga po deszczu")

*

Zagadkę zgadnijcie taką,
co czerwone, choć bez laku?...

(„Słońce")

*

Gdy zapalę bonzie czub,
dymu się ukaże słup,
a ilekroć zrobię „cmok",
wnet wyleci siwy smok...

(„Fajka")

*

Dwa liście bambusu
wciąż się tłuką z musu...

(„Nożyczki")

*

Stoją rzędem w kształcie kopcy
i nie wpuszczą, jeśliś obcy...

(„Ule")

*

W pełnym krwi worze
z kamieni brzemię,
o pewnej porze
spada na ziemię...

(„Granat")

ROZWIĄZANIE REBUSA

z N-ru 32

„Weselej na duszy, kiedy wóz się ruszy.

Nagrody

Nagrody książkowe drogą losowania otrzymali: E. Watraszewski, I. Klar, B. Ojrzanowski, W. Lipski, F. Olszewski.

Z redakcyjnego biurka

Fr. B. z Bydgoszczy. Ależ ma Pan tupet. Wydrukował Pan własnym nakładem bzdurstwo, wołające o pomstę do nieba, naznęcał się Pan nad papierem, który musi być cierpliwy i przyjąć wszelką wypocinę grafomańsk—i na tej podstawie proponuje nam Pan wywiad ze sobą do naszej ankiety p. t. „Z mojej karjery“. Ależ, Panie Szanowny, głos w niej zabierają tylko ci przedstawiciele pióra, którzy naprawdę reprezentują literaturę współczesną, których nazwiska coś mówią ogółowi czytającemu i którzy mają prawo do zabierania głosu o sobie i swojej karjerze. Chodzi nam o zbliżenie ich do ogółu, zainteresowanie warunkami ich życia i rozwojem ich twórczości tak, jak to się dzieje wśród cywilizowanych narodów świata, gdzie umieją szanować i cenić talent i zasługę w dziedzinę ducha. Nie miejsce wśród nich dla grafomanów, którzy są nieszczęściem każdej redakcji, czarną plamą literatury i uosobieniem degeneracji duchowej. Przecież, gdybyśmy Panu taką niedźwiedzią usługę oddali, przyjechałby Pan do Warszawy, zwalił Mickiewicza z piedestału na pomniku i sam stanął na jego miejscu. Aż strach pomyśleć! Propozycja w odpowiedniem miejscu, bo w.. koszu.

Autorowi „Smutnej doli“. Redakcja to nie bank. Żadnych zaliczek nie udzielamy. Rękopisy, nadsyłane do redakcji bez oznaczenia ceny, uważamy za bezpłatne. Zresztą, jeszcze nie przeczytaliśmy Pańskiej noweli, która może wogóle nic nie jest warta, a więc skąd zaliczka? Podobno chcieli ją Panu wydrzeć w innej redakcji. Ależ, Panie, niechże Pan da sobie wydrzeć czemprędzej, bo jeszcze się rozmyślą. Trzeba korzystać z takich okazyj, bo inaczej na „smutnej doli“ z nowelą Pańską się skończy.

Marjanowi B. z Grodna. Uwagi Pańskie są bardzo słuszne. Skorzystamy z nich z przyjemnością po opracowaniu redakcyjnem. Niech się Pan nie krępuje brakami stylu. Poprawimy tem bardziej, iż z całą skromnością Pan się do tego przyznaje i nie ma Pan żadnych pretensyj, cechujących grafomana

Autorowi wiersza „Moja myśl“. Pisze Pan: „Myśl moja skrzydlata... ulata... na krańce świata“. Radzimy Panu dodać jeszcze: „Fra-ta-ta-ta... tra-ta-ta-ta“ i wysłać ją co prędzej poza krańce świata. Tymczasem zawędrowała do kosza



Autorowi P-skiemu z Warszawy. Właśnie myślimy o tem, by każdemu Prenumeratorowi dopłacić po 10 złotych miesięcznie, a w końcu roku dodać, jako premjum bezpłatne, 4-piętrową kamienicę. Proponujemy więc Panu przystąpienie z nami do spółki wydawniczej. Będziemy wspólnie dzielili dochody, a Pan będzie pokrywał wydatki. Zgoda?

Marji Br... ckiej. Pyta się Pani, jak pisać. Tak, aby było dobrze. Niestety, tego nikt Pani nie nauczy. Z tego, co nam Pani nadesłała, możemy zaproponować, aby się Pani wzięła do innej, bardziej odpowiadającej sobie pracy Lepiej być dobrą ogrodniczką, niż kiepską literatką.

Zofji Siedleckiej z Poznania. Najlepszą i najpożyteczniejszą lekturą dla dzieci są „Książki Różowe“ (dla młodszych) i „Książki Błękitne“ (dla starszych do lat 15—16). Polecamy je z głębokiego przekonania o ich prawdziwej wartości. Do tego są bardzo tanie. Książka w oprawie i bogato ilustrowana w prenumeracie zł. 1. Ukazują się: 2 książki „różowe“ i 2 książki „błękitne“ co miesiąc. Adres Redakcji: Warszawa, ulica Krakowskie Przedmieście nr. 9, kto dba o dziatwę, ten nie powinien poskąpić na ich prenumeratę, bo sprawi jej wielką uciechę, połączoną z rzetelnym pożytkiem. Dobra książka winna się stać przyjacielem od dzieciństwa, by dziecko wyrosło na pociechę rodzicom i społeczeństwu. Można zaprenumerować również za pośrednictwem naszej redakcji, a nawet z tem ustępstwem, iż prenumeratorom „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“ nie będą doliczane koszty przesyłki.

A. M. z Wołkowyska. Fotografje, niestety, nie nadają się do reprodukcji. Winny być ostre i odbite na glansowanym papierze. O ile otrzymamy tego rodzaju odbitki, chętnie skorzystamy. Dziękujemy za łaskawą pamięć i dobre zamiary.

NOWOPRZYBYWAJĄCY PRENUMERATORZY

mogą nabywać pierwszą część powieści p. t. „Walka o testament“, jak również pierwszy nasz dodatek powieściowy p. t. „Tajemnica pokoju Nr. 17“ w postaci zbroszurowanych książek po cenie zł. 1.—.

Wydawca: Polskie Biuro Wydawnicze. Redaktor: *Eugenjusz Rafalski.*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.